



*Cytadela Warszawska.*

Biblioteka Publiczna  
Warszawa - Wola

46171

0



3011--046171-00



*nie ma*

Cytadela

# WARSZAWSKA

OBRAZY I WSPOMNIENIA



W WARSZAWIE

Nakładem Gebethnera i Wolffa

w Marcu

1916.

5 | 9 (438 Warszawa-Cytadela)

~~WARSZAWA~~  
~~GEN. STANISŁAWA~~  
~~1907~~

Książeczka niniejsza oddana w Hołotę

WŁ. LAZARSKIEGO  
w Warszawie



Czyt. Nsukowa

Nr III  
Nr inw. C. N. 46171

Za zgodzaniem Cenzury Niemieckiej



---

## PRZEDMOWA.

Cytadela!... Ileż wspomnień okropnych budzi ten wyraz w sercu Polaka, jakże bolesnem echem odbija się w duszy warszawianina.

Na skraju miasta, tam, gdzie niegdys rozlegał się gwar ruchliwego środowiska, gdzie wznosiły się eleganckie, wytworne pałacyki i wille Żoliborza, rozsiadł się potwór potężny, tajemniczy, patrzący podejrzliwie otworami strzelnic, zionący paszczami armat.

Cytadela!... Tysiące ofiar przesunęło się przez jej zamczyste bramy nad klóremi powinien czerpieć napis Dantejski: „kto tutaj wnijdiesz, zegnaj się z nadzieją!...”

Z gmachów cytadeli warszawskiej nie wychodził na zewnątrz żaden jęk, żaden okrzyk rozpacz; — ale pełną ich była cała Warszawa, Polska cała, słuchająca uszami duszy, podana

myslą lesknolliwą, ku tym ścianom nieczutym,  
za klóremi cierpeli i ginęli najlepsi jej synowie.

O wewnątrznym życiu Cytadeli, jakże jednak  
malo wiedział Polak, żyjący poza konspiracją  
i buntem. Gluche tylko dochodziły go wieści  
o udręczeniach, o katogach fizycznych i moral-  
nych, jakich nieszczędzono więźniom politycznym.  
Dziesiąty pawilon! któż nie zna u nas grozy  
tych dwóch wyrazów, nad klóremi unosi się wid-  
mo karta, ze stryczkiem i knutem w ręku.

Więc widzimy, że należy zaznajomić szeroki  
ogól społeczeństwa polskiego z tem wszystkim,  
co ma związek z życiem skazańców w cytadeli  
warszawskiej: ze wspomnień ludzi, umiających  
patrzeć, myśleć i pamiętać zacerpneliśmy te  
obrazy, ku uświadomieniu synów i wnuków o po-  
święceniach ojców i dziadów.

A kiedyś, gdy

## „Cytadela Warszawska”

runie tak, jak runęła Bastylia, książeczka ni-  
niejsza będzie jedynie krwawem wspomnieniem  
tych czasów, gdy nad Warszawą, jak nieustanna  
zmora i groźba, czyhała wiecznie chciwa ofiar  
Cytadela warszawska.

A. O.

---

## W LUDWISARNI.

Ponurą i niesympatyczną była postać p. Sojeckiego,  
majora Ordynskiego pułku kirysyerów i odko-  
menderowanego na plac-majora miasta Warszawy,  
a do którego należał nadzór policyjny ówczesnych  
więzień politycznych, jakimi były w Warszawie:  
Cytadela, Plac, Ludwisarnia, Franciszkanie, Kar-  
meli na Lesznie, i inne mniejsze więzienia polityczne,  
których nie znałem i nie pamiętam.

P. Sojecki, był to człowiek wysoki, chudy, śniady,  
z czarnymi wąsami i przez nos mówiący. Nie wpły-  
wał on tyle grozą na siedzących wówczas więźniów  
politycznych, ile raczej męczył ich nudą i drobnost-  
kowością. Lubił gorące napitki, którymi można  
było jakieś u niego względy pozyskać.

Drugą, bardzo ważną dla więźni, w Ludwisarni  
będących, figurą, był dozorca tegoż więzienia, pra-  
porszczyk piechoty, Mamajew, którego przezwano

księciem Mammajem, na cześć tatarskiej pamięci księcia Mammaja, sławnego wodza, w epoce jarzma tatarskiego, pod którym 200 lat jęczała niegdyś Moskwa. Był to mały, chudy, czarny człowieczek, różniący się tylko wąsami i mundurem od innych zwierząt ssących, a tak głupi, że równego, nawet zamówionego, na wielkim Makaryewskim jarmarku i za 10 lat nie dostawia.

Jako dopełnienie szanownego triumwiratu dodać jeszcze trzeba podoficera żandarmów, Agiejewa, który porządkiem i wewnętrzną strażą więzienia kierował. Silny, barczysty i wysoki Moskal, zawsze pijany, a przytem tak brudny, że trudno rozoznać było, czy gołe, czy w czarnych rękawiczkach, miał rękę. Agiejew bywał także przytomnym przy roznoszeniu obiadów, i, skoro żołnierze postawili na stole, potrawy już naprzód zawsze pokrajane (gdyż łyżkę tylko dawano, a noża i widelca nigdy z obawy, aby więzień sobie śmierci nie zadał), on zwykle swoimi brudnymi palcami brał najlepsze kawałki, mówiąc: „Kuszajcie, eto charaszo”. Jeżeli to więc była potrawa sosem oblana, pozostawał w niej smak i zapach, obrzydzenie budzący — jadło się jednak, bo się jeść chciało.

To był szanowny triumwirat, pod którego pieczęą jedenaście miesięcy więzienia mego pozostawałem.

Więzieni wówczas ze mną w Ludwisarni i pod sądem zostający, o ile pamiętam, byli:

Ks. Antoni Ojrzanowski, ks. Tęsiorowski, pułkownik Węgierski, Stanisław Walewski, Wiewió-

rowski, Leszewski, Rudnicki, Gustaw Zieliński, Julian Rościszewski, Eustachy, Roman i Teofil Chelmiccy, Klarner, Hübrych, Kownacki, Antoni Kronkowski, Tadeusz Krzymuski, Boblewski, Załuskowski, Adolf Łączyński, Erazm Czermiński, Ignacy Orpiszewski, i kilku innych, którzy przemijająco pozostawali, gdyż dla konfrontacyi lub innych przyczyn przewożono ich z jednego do drugiego więzienia.

Badania więźniów odbywała naznaczona w tym celu komisya śledcza, pod przewodnictwem ówczesnego ober-policmajstra miasta Warszawy, pułkownika Storozhenko, składała się zaś z pułkowników Lewickiego, i ks. Galicyna, adjutanta Paszkiewicza, z porucznika żandarmów, Lejchtego i z kilku innych oficerów moskiewskich, oraz z jednego członka sądowego, Trzczińskiego, polaka. Dwa razy na tydzień odbywały się posiedzenia tej komisyi, w razie zaś konfrontacyi lub innej potrzeby, Agiejew w towarzystwie dwóch żołnierzy z bronią, sprowadzał nas po jednemu do sali sesyjnalnej. W komisyi tej badano, biorąc za zasadę albo raporta żandarmów, albo doniesienia szpiegów za nierozważnie wypuszczone słówka, a nawet podejrzenia tylko. Przy badaniu wszystkich inkwizycyjnych używano środków, począwszy od namowy i przyrzeczeń nieograniczonej łaski, byle wyznać prawdę, od podlecchtowania miłości własnej, podchwytywano za słowa, a zawsze gotowi stali żandarmi i służyciele z dostatecznym różg zapasem, którzy do wyznania nieistniejącego nawet przewinienia zmuszali. Niepo-



dobna mi zapomnieć jednego z tych postępców śledczych, które jest jakoby normą wszystkich prawie innych tego wyjątkowego sądownictwa.

W przyległym mojemu numerze więzionym był niejaki Nowak, kaleka bez nogi, którą po kolano utracił od armatniej kuli pod Rakowcem, w czasie szturmie Warszawy. Uwięziony był i znajdował się pod śledztwem w skutku doniesienia szpiega, jakoby w czasie bytności carskiej w Warszawie, w kilku razem idąc wieczorem ulicą, jeden z nich odezwał się: „Że też to nikt się nie znajdzie, co by tego szelmę (Mikolaja) zgładził”. Szpieg miał słyszeć te słowa, lecz nie znał osób idących, tylko, iż jeden z nich był o kuli, i na tej zasadzie, że Nowak był oficerem rewolucyjnym i był bez nogi, więc go uwięziono, aby się dowiedzieć, kto byli inni, co mu towarzyszyli, i który z nich te słowa powiedział, o których szpieg donosił. Półtora roku męczono wszelkimi sposobami Nowaka, aby coś z niego wybadać. Czy to hart duszy, czy też rzeczywicie nie znajdował się w tem towarzystwie, dosyć, że nic od niego dowiedzieć się nie mogli, jednakże mimo to, wyczerpawszy wszelkie męczarnie, osadzono go jako złe myślącego, uznano za winnego i zesłano na Syberyę na mieszkanie z pozbawieniem wszelkich praw, naznaczając mu na mieszkanie miasteczko Iszym. Umarł on w 1836 r. w skutku wyczerpania sił męczarniami i cierpieniami w czasie śledztwa. Jak już wspominałem, numer, w którym więziony byłem, znajdował się obok numeru przez Nowaka zajmowanego, oddzielony tylko lekkim z desek

przepierzeniem, naprędcie zrobionem i otynkowanem wapnem, można było jednak wszystko słyszeć, co się u Nowaka mówiło, a nawet przez małe szczeliny dojrzeć, co się wewnątrz działo. Jednego dnia, około 5-ej godziny zrana, niezwykły ruch po korytarzach i odzywy sztyldwachów przebudziły nas, z ks. Antonim, razem wówczas w jednym małym szczeliny siedzących, zwiastując nam niezwykle zdarzenie i przyjazd komisji śledczej. Umówione puknięcie w ścianę ostrzegło wszystkich, że jakiś nadzwyczajny zaszedł wypadek. Bieganina, szczęk kluczy i trzask ryglów dał nam poznać, że do numeru Nowaka otworzono. W mgnieniu oka powstaliśmy z ks. Antonim i przyłożyliśmy oczy do wiadomych szczelin. Po otwarciu drzwi u Nowaka, ujrzelśmy tam wchodzącego Lejchtego, za nim wszedł Trzciniński z teką, potem Mamajew, Agiejew i kilku żandarmów. Nowak, czy to z przyczyny słabości, czy też snu mocnego, leżał jeszcze rozebrany na pryczy. Po zamknięciu drzwi, przystawiono stolik do pryczy, przy którym zasiadł Trzciniński z papierami, obok niego Lejchte, a przy drzwiach stanęła reszta i żandarmi. Tu odezwał się Lejchte:

„Długoż ty jeszcze łajdaku będziesz się zapierał? Mamy dowody, żeś to ty, nie kto inny powiedział te słowa; odkryj współników, powiedz prawdę, a mozesz rachować na litość i miłosierdzie cesarskie—inaczej już my sobie z tobą damy radę“.

Przejęci zgrozą i przestachem patrzaliśmy na tę okropną scenę więzienną, my dwaj tylko niewidomi świadkowie. Z przerażenia nie mogliśmy ani

dostyszeć, ani zrozumieć odpowiedzi Nowaka — lecz niebawem okropniejszy nastąpił widok: „Łozunow!\"<sup>4</sup> wrzasnął Lejchte. — Rzucili się żandarmi i służyciele na leżącego na przychy Nowaka i przynietli go. Świst różg i uderzenia słyszeć się dały, jęknął nieszczęśliwy, zerwał się z siłą młodzieńczą i strząsnął ten cały motloch gniotący go, powstał i chcąc stąpnąć, zapomniął, czy nie czuł, że nie ma nogi, i całym ciężarem ciała uderzył o podłogę; rzygnęła krew strumieniem, kość wyszła z otwartej rany i padł zemdlony. Porwali go napowrót siepacze, rozeciągnęli na prycy i na nowo siec zaczęli, chociaż krew z otwartej buchała rany. Po minucie może tej męczarni, nie słysząc żadnego krzyku ani odpowiedzi, zimno zawołał Lejchte: „pózwat' lekarza!\" Wybiegł służyciel i wkrótce sprowadził dyżurnego moskiewskiego wojskowego chirurga. W oczach nam się zaćmiło, przytomność odeszła i nic nie wiem, co się dalej działo — pamiętam tylko, że wychodzącemu Lejchtemu rzekł lekarz: „eto niczewo, urieżem po dalsze i budiet ładno\". Nowaka wyniesiono do lazaretu i nie widziałem go aż w kilka miesięcy później, jak nas razem na Syberyę wieziono. Młodość i silne zdrowie dozwoliły, że się rana zagoiła i nowej nie zrobiono amputacyi. Szczętkły zamki, drzwi się otworzyły, wpadł Lejchte do nas, krwawem hyeny popatrzał okiem, widać dorozumiął się, żeśmy wszystko przynajmniej słyszeć musieli — i wyszedł nie nie mówiąc. Trzask ryglów i odzywy sztyldwachów obudziły nas z tego odurzenia dręczącego, spojrzeliśmy na

siebie z ks. Antonim, ale słowa żaden nie był w stanie wymówić, cicha tylko modlitwa zaniosła przed tron Najwyższego błaganie o pomstę nad katami.

Każdy z ujętych, przywieziony do Warszawy, oddanym został pod komisję śledczą, w tym celu ustanowioną. Początkowe badania odbywały się tajemnie (pod sekretem), t. j., że każdy osadzony był w osobnej więziennej celi, we drzwiach której było wyrżnięte małe okienko, i przez takowe sztyldwach chodzący po korytarzu, każdego czasu mógł widzieć, co więzień robi, nawet w nocy, gdyż zawsze się świeca paliła. Ważniejsi więźniowie, do których i ja miałem zaszczyt być zaliczonym, mieli oprócz tego straż wewnątrzną, t. j. jednego albo dwóch sztyldwachów bez broni, którzy razem z więźniem zamknięci, oka z niego nie spuszczały. To było najokropniejszym i najnieznośniejszym udręceniem, w którym łatwo rozum postradać, gdyż niepodobna było ani zasnąć, ani myśli własnych zebrać, bo sztyldwach taki wewnętrzny krzyknął, stąpnął lub splunął, i sen lub myśli przerwał. Dodać do tego ciągle światło w nocy i zawsze smród nieznośny, nieodzowny w malej izdebce, od wiecznie tam stojącego kubła, nie zbyt czysto utrzymanego, przytem przenikliwy zapach, właściwy Moskalom, a nadto cogodzinną dniem i nocą zmiana sztyldwachów, ciągle trzaskanie zamkami i drzwiami, stawały się torturą, którejby nawet inkwizycya w Hiszpanii wymyśleć nie umiała. Przez cały czas sekretne więzienia nie golono, ani strzyżono, na-



wet paznogciom rosnać było wolno. Szydłwachom wewnątrz stojącym najsurowiej wzbronionem było rozmawiać z więźniami, również nie wolno było więźniom czytać, a tem bardziej pisać, śpiewać, głośno deklamować. Gdy komisya pozwoliła więźniowi list lub prośbę napisać, prowadzono go do sali sesyjnej, dano mu tam papier naznaczony, na którym wobec członka komisji mógł pisać co mu pozwolono;—po napisaniu papier ten odbierał członek delegowany i przy raporcie odsyłał do komisji śledczej, która po przejrzeniu, opatrzeniu i rozważeniu, robiła z pisma tego użytek, jaki za właściwy uznała. Najbardziej wzbronione były głośne rozmawiania, śpiew lub krzyki; za nie karano więzieniem w podziemiach i postem, t. j. zamykano w celi pod ziemią będącej, zupełnie ciemnej, gdzie zamiast pośłania była wiązka słomy, a na pożywienie garnek wody niezbyt czystej i kawałek żołdackiego chleba. Nieuległym lub niechcącym przyznać się do winy, usuwano wodę, a dawano śledzia słonego, z kąd powstawało pragnienie, którego niczem ugasić nie było można. Upartym zaś bardzo dawano chłostę dopóty, aż komisya uznała ilość za dostateczną. Wprawdzie osobiście nie doznałem ani więzienia w lochu, ani chłosty, lecz iluż to było towarzyszków moich, którzy te męczarnie przeszli? Częste krzyki i jęki męczonych dostatecznie nas o tem przekonywały. Najwięcej w tym rodzaju wycierpiał Filip Grodzicki, z Kaliskiego, który nam to później opowiadał przy widzeniu się z nami w Tobolsku, gdy go do wscho-

dniej pędzono Syberyi. Po ukończeniu działań komisji śledczej, łżejsze było więzienie, gdyż łączono nas po dwóch lub trzech w jednym numerze; była to wielka radość, można było zobaczyć się z towarzyszem lub towarzyszami i nagadać się do woli. Wtedy także dozwolano przechadzki po dziedzińcu, w utworzonym szpalerze przez żołnierzy w odstępie 10 kroków jeden od drugiego, pozwalano w jednym numerze znajdującym się więźniom przechadzać się godzinę. Było to niewymownie wpływającym na zdrowie więźniów, ci albowiem, którzy kilka miesięcy samotnego przepędzili więzienia, mdleli za pierwszym wyjściem na świeże powietrze, innym drętwiały nogi tak, że z początku chodzić nie byli w stanie. W tych czasach miłe i wesołe bywały chwile, surowa karność więzienna prawie znikła, Mamajew, opłacany dobrze, nibyto ze względami dla nas, około 7-mej godziny wieczorem, kiedy się już żadnego rentu ani wizyty nie spodziewał, puszczał nas czasem po ośmiu lub dziesięciu do jednego numeru. Największym numerem był mój, gdzie siedziałem z ks. Ojrzanowskim i St. Załuskowskim; wtedy rozpoczynała się hulanka,—wino i rozmaite łakocie, hojnie nam przez krewnych dostarczane z miasta, naleźycie spożywane były; fajki dozwolone kopciło się na wysięgi przy gawędzie, nawet karty zjawily się i niejedna partyjka „lanosknechta“ i „faraona“ rozegrała się.

Ja byłem kucharzem Ludwisarni, i z dostarczanych nam przez krewnych pieczonych indyków,

kapłonów, zajęcy, pomarańcz, owoców, cytryn i napitków, Bóg wie jakie wytwarzałem frykasy, którymi się Mamajew obżerał, mówiąc „czudiesnoje”. Przez ten czas Agiejew stał na straży przy wejściu do więzienia, i skoroby się pokazał niespodziewany ront lub wizytujący, ostrzegał zwykłym odzywem: „poslat' unteroficera”. Na hasło to gaszono światło i rozbiegano się do swoich numerów, które coprędzej służyciele zamykali. Prawie zawsze Mamajew pijany z pomocą służycieli musiał być odprowadzany. Raz nawet tak się zdarzyło, że, będąc pijany do stopnia niemożności wyjścia, legł na pryczy Żałuskowskiego. Służyciele śpiącego zamknęli razem ze mną i ks. Ojrzanowskim, a biedny Żałuskowski przez cały czas wizyty pułkownika Sjanowa musiał siedzieć w kryjówce. Sjanow, obchodząc kurytarze, sprawdzał przez okienka liczbę więźniów, nie wchodząc wewnątrz; udało się szczęśliwie i Sjanow pojechał sobie. Był on wtedy adjutantem generał-gubernatora m. Warszawy, Pankratjewa, a bano go się bardzo, bo był surowym i złośliwym. Często na takim wieczorku i Sojecki niejedną z nami wytrąbił butelkę szampana.

Po skończonem śledztwie przewożono nas po kilku do Placu, a ztamtąd w parę dni prowadzono do sądu wojennego, który odbywał posiedzenia swoje w prawem skrzydle pałacu Prymasowskiego na Senatorskiej ulicy. W sądzie tym przydywował jen. Paniutyn (później był jen.-gubernatorem m. Warszawy). Sąd zaś składał się z kilku sztabs-

ober-oficerów, których nazwisk nie pamiętam. Sąd ten wojenny jedynie był czczem dopełnieniem formalności, sądzono albowiem podług przepisów prawa wojennego Piotra Wielkiego, które bez wyjątku tak przywódców, uczestników, a nawet wiedzących tylko o zamachu politycznym, zarówno karze śmiercią. Różnica w karze zawisła jedynie od rodzaju śmierci, tj. od knuta, szubienicy, ćwiertowania lub rozstrzelania. Wszelkie więc usiłowania niewinnienia na nic się nie zdały, bo ktokolwiek dostał się tylko pod sąd wojenny, winien był według przepisów prawa być karany śmiercią. Gdzie prawo takie jest obowiązującym, tam wszystko zależy od woli jednego, który wyroki łagodzi, potwierdza lub czasem zaostrza, a który zwykle niema najmniejszego wyobrażenia ani o obowiązkach sumienia, ani o godności sędziego.

Po skończonej komedii tego sądu, odwieziono nas znowu do Ludwisarni, nie uwiadamiając nas po tem, co się z nami stanie, ani o tem, co się dzieje z naszymi sprawami. Sąd wojenny, po zamknięciu akt naszych czyli po dopełnieniu formalności przesłuchania obwinionych, odsyłał wszystko do głównego audytoratu armii, w którym przydywował jen.-audytor Grygorjew, atrybucją zaś tego audytoratu było sformować listę osądzonych i podzielić ją na kategorye podług widzimisię pana generała; ogólne zaś niby zasady miały być, że w kategoryi I-ej zamieszczano tych, którzy byli schwytani z bronią w rękę, i wszyscy ci byli karani

śmiercią (dziś już nie pamiętam wszystkich: Artur Zawisza, Speth i nie pomnę kto, powieszani byli w Warszawie; Winnicki i Zajac vel Zajączkowski rozstrzelani w Kaliszu; oprócz tych odbyły się egzekucyje w różnych miejscach kraju, jako to: Siedlcach, Lublinie, Łomży i innych. Razem 14 osób powieszono i rozstrzelano).

W kategorii II zamieszczano tych, którzy mieli styczność z emisaryuszami albo im pomoc w żywności lub broni dawali, albo też ukrywali ich przed pogonią. Wszyscy ci skazani zostali do ciężkich robót na Syberyę. Między tymi byli: Mystkowski, obywatel z Płockiego, Weber i Luboradzki z Płocka, którzy podobno należeli do oddziału Zawiszy, obadwa ledwo po 15 lat wieku liczący.

W kategoriach III, IV i V zamieszczano wszystkich, mniej lub więcej skompromitowanych, z których ci, co byli w III kategorii zamieszczeni, ulegli zesłaniu na Syberyę na osiedlenie, z utratą szlachectwa, urzędów i tytułów wraz z konfiskatą majątku. Z IV kategorii karano zesłaniem do wojska bez wysługi w bataljonach Sybirskich, Orenburskich i na Kaukazie. Z V kategorii więziono w fortecach (Zamościu i t. p.) po 2 lub więcej lat, a czasem i rok tylko — najmniej winnych więźniów po odwachach, a rzadko po pół roku lub kilka miesięcy. Wszyscy zaś bez wyjątku po wysiedzeniu kary oddawani byli pod dozór policyjny, bez oznaczenia czasu. Wtedy to były czasy przekupstwa i targów; mnóstwo agentów i faktorów biegało po hotelach i stancyach, zajmowanych

przez rodziców lub krewnych więźniów, a każdy wychwalał i głosił wielkość i znaczenie swojego pryncypała, że od niego wszystko zależy, byleby dobrze zapłacić. Głównie biegali od Grygorjewa jen. audytora sądu wojennego, który (wiem dokładnie) był czułym na pieniądze grzechności. Rzadko wprawdzie, ale bywały wypadki, gdzie wiele można było zrobić pieniędzmi; więziony z nami Antoni Kromkowski z Konińskiego, syn zamożnych rodziców, którzy na jego interes przeszło 100,000 złp. stracili, za protekcją Grygorjewa i Lejchtego skazany został tylko na rok do Zamościa, chociaż przewinienie jego równe było naszemu. Ajenci Grygorjewa mojej ciotce proponowali, że byleby poświęciła 20,000 złp., a będąc zupełnie wolnym; niestety, pomimo szczerzej chęci, pieniędzy tych wówczas nie miała, Grygorjew nic nie dostał, a mnie posłano do Syberyi na osiedlenie.

Złote to były czasy dla urzędników moskiewskich, i urząd w komisji sędziej niezłą był dla nich Kalifornią. Rodzice, krewni i przyjaciele ostatnich dobywali funduszków, byle ratować uwięzionych. Było to ogólnem, szczytnem i wzniosłem całego ogółu uczuciem.

Po skończonym sądzie znowu nas odwieziono z Placu do Ludwisarni, gdzie kilka miesięcy przebyliśmy w spokojności, spodziewając się codziennie ulaskawienia i uwolnienia.

Dnia 24 Lipca 1834 r. około 12 w nocy przebudził mię stuk do bramy, a chociaż to prawie codziennie się zdarzało, dziwnie mię jakoś przeraził,



i ks. Ojrzanowski również się przebudził. Uważnie podsluchiwałam ruch i chodzenie po korytarzu, wkrótce jasne światelko błysło przez szybkę, we drzwiach skrzypnęły rygle, wszedł Sojecki ze świecami i z dwoma żandarmami, przystąpił do tapczanu, na którym leżałem, mówiąc:—Ubieraj się pan, pojedziemy. Porwałem się i odziewszy się nieco, spytałem; a dokąd, panie majorze?— Niedaleko, odpowiedział, zabierz pan jednak z sobą co potrzeba. Lecz gdy zacząłem pakować do tłumoka pościel i inne rzeczy— rzekł: Niepotrzebnie zabierasz pan z sobą tyle rzeczy, będziesz je musiał wyrzucić po drodze. — Te słowa nieco mię przeraziły, bo pomyślałem, kiedy wszystkich rzeczy zabierać z sobą nie każą, to chyba na śmierć mię powiozą. Prócz tego com miał na sobie, wziąłem więc tylko płaszcz, i kilka chustek i koszul w zawiniątko małe włożyłem. Żandarmi zawiniątko wynieśli a ja, pożegnawszy się z ks. Ojrzanowskim, zszedłem na dół z Sojeckim. Noc była dżdżysta, lecz gwiazdy gdzieś tam świeciły, warta była pod bronią przed frontem odwachu uszykowana, a gdy przeszliśmy dziedziniec i wyszli za bramę, zastaliśmy dorożkę, otoczoną sześciu żandarmami i kilku kozaków konno. W milczeniu wsiedliśmy do dorożki z Sojeckim, którą zaraz żandarmi i kozacy otoczyli i ruszyliśmy z miejsca. Wszystko spało w całej Warszawie, żadnego światelka nigdzie spostrzedz nie można było, i ciepły mżył deszczyk. Przejechaliśmy ulicę Dziką, Bielańską, Plac przed teatrem, Senatorską, Krakowskie-Przed-

mieście, Bednarską i przejechawszy po moście na Pragę, zastaliśmy tam szpaler z żołnierzy pod bronią uszykowany, środkiem którego dojechaliliśmy aż do okopów i stanęliśmy przed odwachem. Sojecki wysiadłszy, skinął na mnie, żebym to samo uczynił, warta cała wystąpiła z bronią, wprowadzono mię na odwach do brudnej i ciemnej izdebki, i tam kazano czekać. Wkrótce potem wprowadzono tamże Luboradzkiego i Webera z Cytadeli, a nakoniec przywieziono Nowaka. Gdyśmy już wszyscy czterej zgromadzeni byli, w przytomności Sokolowskiego, adjutanta Placu, Sojecki, wzięwszy kawałek ogorzałej tojówki, przeczytał nam wyrok, z którego, nie umiejąc wtedy po moskiewsku, ani słowa nie zrozumieliśmy. Na zapytanie nasze, co ten wyrok miałyby znaczyć, Sojecki krótko odpowiedział: „W Sybir na posilenje“.

Po takowem ogłoszeniu wyroku, mnie pierwszemu kazano usiąść na obdartej sofie co się tam znajdowała; z zapieca zaś wylazł śmierzący солдат, niosąc kajdany i w takowe zaczął mię zakuwać. Z jedną nogą dobrze jakoś poszło, ale gdy mi u lewej nogi zaczął nitować kajdany, czy to z przyczyny ciemności, czy też umyślnie zamiast w wąsy od kajdan, z całej siły uderzył mię młotkiem w piszczel; porwałem się z bólu i potężnym obdarzyłem go policzkiem. Skoczyli zaraz do mnie żołdaci, porwali za ręce i przytrzymali, dopóki kował nie okuł mię. Ból, który wskutek tego uderzenia czulem, dolegał mi okropnie, a pomimo tego cierpienia nie mogłem śmiechu powstrzymać na



widok sceny, która się oczom moim przedstawiła, a zwłaszcza z kłopotu, w jakim byli Sojecki i Sołowski. Z kolei zaczęli okuwać Nowaka; podał więc jedną nogę, którą mu okuli, lecz, nie mając drugiej, gdy następnie podał szczudło, kowal zdziwił się niepomału i obracając się do Sojeckiego, zapytał: „a eto kak?” Zafrasowani Sojecki z Sołowskim nie wiedzieli jak sobie postąpić, wyrok albowiem wyraźnie kazał okuć skazanych na obiedwie nogi, a tu jednej nie było. Ci panowie tak zgłupieli, że długi czas słowa wymówić nie mogli. Co tu robić? jak wyrok wykonać? Po długich naradach wymądrzyli, że kajdany od okutej nogi kazali przyczepić do paska w stanie; wydawało się więc, jakby go kajdanowym ozdobili lampasem.

Po skończeniu okucia wszedł kapitan żandarmów, Świat, przyjął nas pod konwój i z odebrania pokwitował. Wyprowadzono nas przed odwach, gdzie już cztery pocztowe czekały bryczki, na które nas powsadzano, bo, nieprzyzwyczajeni do kajdan, nie mogliśmy wsiąść sami. Ze mną wsiadł na bryczkę Świat, na przodku, obok pocztyljona, usiadł podoficer żandarmów z nabitym pistoletem; inni zaś trzej, każdy na innej siedział bryczce, mając obok siebie podoficerów, a na przodku żandarmów, z nabitą bronią, i tak dopiero o trzeciej godzinie z rana ruszyliśmy traktem na Miłosnę.

*(„Wspomnienia Konstantego Wolickiego z czasów pobytu w Cytadeli warszawskiej i na Syberji”. — Lwów, 1876.)*

---

## Z PAMIĘTNIKÓW J. GORDONA.

Rok 1846. Miałem wówczas zaledwie lat dziewiętnaście i świeżo opuściłem ławę szkolną.

Siedząc pewnego dnia w hotelu wileńskim, w Warszawie, w towarzystwie poczciwej kobiety, utrzymującej takowy i jej krewnego Bolesława, opowiadałem ostatniemu historyę zesłanych na Sybir, których ze łzą żegnałem na punkcie zbornym Pragi; opowiadałem mu także niektóre szczegóły dotyczące aresztowania komornika Zarzyckiego, później tak barbarzyńsko gnianego przez stroj<sup>1)</sup>, jako należącego do sprawy politycznej księdza Ściegiennego.

---

<sup>1)</sup> Wyrażenie rossyjskie Stroj oznacza dwa szeregi żołnierzy, opatrzonych prętami, którymi uderzają delikwenta do połowy obnażonego i ciągniętego pomiędzy szeregami z rękoma, przywiązaniem do karabina.

Na tę rozmowę nadchodzi młody człowiek, wykwintnej powierzchowności, którego przedstawiają mi jako pana Brzezańskiego, mającego niby ojca w emigracji, dobrego chłopca, który mi pozwoli być z sobą sans façon. Prowadzę więc najspokojniej zaczęta rozmowę, skończywszy, oddalam się, a w parę dni odbieram u siebie wizytę Bolesława z Brzezańskim.

Ostatni jest wylany dla mnie. Lew warszawski, a przytem patriota. Lubi on mię bardzo. Daje mi dowody swego zaufania, ukazując na ulicy, w teatrze, niektóre figury, które mianuje „nieszkodliwemi więcej“, bo on już je odkrył, jako należące do tajnej policji i t. d. Słowem, Brzezański bywa u mnie nawet zażyty często, tak mię kocha, i naraża zżęcznie na wydatki pieniężne.

Nadchodzi nakoniec dzień pożegnania. Oświadczam mu zamiar opuszczenia Warszawy i powrotu do domu na wieś, może jeszcze tegoż samego wieczora. Przychodzę do mego numeru w hotelu, kładę się na sofie, i przerzucam gazetę—gdy nagle drzwi się otwierają, wchodzą do mnie skromnie jakieś indywidua, po cywilnemu poodziewane, fizygnomie podejrzanę, pod przewodnictwem komisarza policji Grasa, ulubieńca Paszkiewicza.

Spoglądam na nich z podziwieniem. Każą mi pofatygować się do ober-policmajstra. Wstaję więc—drzwi mej stancyi pieczętują, nie oddawszy mi klucza, i nieproszeni siadają ze mną ci aniołowie stróżę do oczekującej dorożki.

Wszystko to stało się w oka mgnieniu.

Oglądam się i postrzegam, nie bez trwogi, że taki sam los spotkał i biednego Bolesława. Popadliśmy obydwu w szpony łapaczy!

Przyjeżdżamy więc na ratusz: tam wprędce zrewidowano me kieszenie i posadzono samotnego w stancyjce za kratą. Prędejbym się był śmierci spodziewał, niż tak nagle ujrzyć się w potrzasku.

Godzina jedenasta w nocy powolnie uderza na zegarze ratuszowym.

Rygle się odsuwają; okazuje się mym oczom naprzód latarka w ręku, a za nią postać przechrzty Grasa, w pewnej asystencyi. Prowadzą mię przez podwórze do ober-policmajstra, jenerała Abramowicza.

Nie byłem jeszcze w stanie zebrać myśli dostatecznie.

Abramowicza zastałem siedzącego przy kieliszku wina wraz z hrabią B. Poznałem w ostatnim od razu toż samo indywiduum, który niegdyś gardło sobie podrzynał wskutek narobionych długów, nim został ślepem intryg policji narzędziem.

Rozmowa moja z Abramowiczem, która nigdy nie wygaśnie w pamięci, choćbym żył lata matuzalowe, była następująca niemal co do słowa:

„Czy wiesz za co tu jesteś?“

„Nie wiem.“

„Czy waćpan słyszałeś o różgach Grasa?“

„Aa!—Nie miałem tego honoru, jenerale.“

„Eh, jak on cię każe osmagać, to zapomnisz i o swej czapce konfederatce i śpiewać nam będziesz na inną nutę, aniżeli do młodzieży warszawskiej!“



„Jestem pod przemocą jenerale.—Ale za cóż ma bić? oczekuję na pytanie i posłuszny prawu, odpowiem.“

Abramowicz zmienił krzykliwy ton głosu.

„Zabiliby cię—harda dusza bez katusza. W których byłeś szkołach?“ — dodał po pewnym przestanku.

„W Gimnazyum Realnem.“

Nastąpiło spojrzenie pełne znaczenia, rzucone do hrabiego B., jakgdyby chciał powiedzieć: wszystko buntowniki! Lecz ten trzymał utkwiony wzrok we mnie i w ciągu całej rozmowy nic się nie odzywał.

„Gadaj więc! ale wiedz młokosie, że sam dyktujesz wyrok swej przyszłości. Łaska lub żołdacy! Dom lub tornister. Czy słyszysz? Wszak miałeś zamiar z Warszawy wyjechać prosto za granicę? Przyznaj się, bo już wszystko wiemy! Podobała ci się konstytucya króla pruskiego i rewolucya krakowska — he? — Gadaj!“

„Tego wyrazu konstytucya, dobrze nie rozumiem; a co do zamiaru wyjazdu za granicę, gdybym miał takowy, biuro paszportowe byłoby o tem bezwątpienia zawiadomione.“

„Kłamiesz! won z moich oczu! Gras, zamknąć go między hołotą — na dole.“

„Czuję się w obowiązku zawiadomić panów, że służą mi prawa szlachectwa i że wszelkiej krzywdy, mi wyrządzonej, ja lub moi krewni poszukiwać będziemy.“

„Won! won!“ — rzucił mi na dobranoc.

Gras, odprowadzając mię do więzienia, oznajmił raczył pod sekretem, że choć powinienby mię umieścić gdzie rozkazano, atoli, zważywszy na moją młodość i wychowanie, ofiaruje od siebie, na ryzyko odpowiedzialności, samotność, bym się mógł snadniej namyśleć; że pod mundurem urzędnika, bije u niego serce człowieka; że bardzo jestem podobny do jednego z jego kuzynów; że mię mocno żałuje, i, że pragnąc mego dobra, zaprowadzi mię tam, gdzie byłem tymczasowo: do najlepszego, obywatelskiego numeru; radząc jednak, jakby rodzonemu bratu, że pozostaje mi tylko upaść do nóg jenerala, który przecież jest Polak, wyznać szczerze i ze skruczą czego żąda, jeśli chcę powrócić swobodnie do domu — bo inaczej, maszerować będąc, jak to już spotkało mych kolegów szkolnych, braci Drewnoskich.

Całą noc spędziłem po omacku na rozmyślaniu i opędzaniu się od pluskiew.

Ktoś do mnie przez ścianę przyległej komnaty parę razy zapukał. Odpowiedziałem mu, nie znając jeszcze języka murów, podobnymże stukaniem, nie wiedząc, że piękna i szlachetna panienska ze swoją służącą obok mnie spoczywały.

Nazajutrz rano, Gras, jak duch przesładowania, zjawił się znowu do mej celi, wyprowadził na dziedziniec pod pozorem przechadzki i długo się jeszcze rozwodził z radami.

Nie umiem wyrazić stanu, w jakim się wówczas znajdowałem; nie wszystko bowiem da się wynu-

rzyć, co płynie w dusz naszych wnętrzu. Byłem wprawdzie tego przekonania, że nic mi zrobić nie są w stanie, atoli jakieś uczucie niewymownego żalu i oburzenia miało mną naprzemiany, łzy mi wyciskając.

Sen twardy po długim czuwaniu i zmorzeniu przyniósł mi nieco ulgi, pokrzepiając ciało. Gdy się jest młodym, snu tak nam potrzeba! Przypominam sobie, że przebudziłem się dopiero na odgłos tajemniczego, znanego stuku.

Ciemno już było w stancyi, korzystając z tego, otworzyłem okno, bo też i duszno było. Stałem na stole i przyłożyłem głowę do kraty, pilnie słuchając. Z dołu hałas złoczyńców łatwo mógł pokryć głos mój, usłyszawszy więc lekki kaszel w pobocznem oknie:

„Kto jesteś koleżko?” — zapytałem.

„Nim na to odpowiem, odezwał się dźwięczny głos żeński, proszę mi oznajmić, czy to pan jesteś, pan mężczyzna, który wobec Grasa i do tego na podwórzu, nie wstydził się przelewać gorące łezki, próżne jeremiady? Jeżeli tak, tłómacz się pan czem-pródeż, bo inaczej zrzeknę się tytułu koleżki.”

Potem rozmawialiśmy długo, dopóki szumieć na dole nie przestano. Wieczór był czarowny. Miryady gwiazd, naksztalt siatki złocistej, błyszczały na ciemnym firmamencie; gwiazdki tylko sąsiadki jeszcze dojrzeć nie mogłem.

Jakież to zdarzenie! Dziewica ta, o ile zapamiętam z jej opowiadania, mając narzeczonego więźnia stanu w cytadeli i znając jego okno, wychodzące

na wał fortecy, przechadzała się tam z matką, a postrzegłszy jakąś gałkę z chleba wyrzuconą, mieszczącą podobno karteczkę sekretną od niego, gdy biegła by ją podjąć, została na alarm sztyldwacha stojącego na straży, zatrzymaną, odesłaną do policyi i ot, uwięziona z matką oddzielnie.

Miała kogoś z bliższej familii, który był urzędnikiem administracyjnym w ratuszu, gdzie znajdowaliśmy się, a który się starał o jej uwolnienie z narażeniem się na utratę posady jaką u rządu piastował, lecz nadaremnie.

Nazwisko jej, jeżeli się nie mylę, Rogalewicz. Ilekroć razy mogłem wyjść, choć pod nadzorem, na korytarz, korzystałem z każdej okoliczności gdy dało się poskoczyć do lufcika jej drzwi, by złożyć „dzień dobry.” Odpowiadała mi z uśmiechem spokojnym. Była to ciemno-brewa, w pełnym rozwoju dziewczica, cery alabastrowej, i wyraz myśli jaśniał na jej pogodnem czole.

Lecz niestety! Toż samo czoło, jak w kilka lat potem słuchy mię dochodziły w Kirgiz-Kajsackich stepach, obnażone później zostało siłą cierpienia z pięknego włosa w murach cytadeli; a sama, przy schyłku życia, wydana matce z tego wielkiego grobowca, zbudowanego dla myślących, oddała ducha Bogu na jej łonie, wśród westchnień Warszawian, którzy podobno godnie wystąpili w poważnym orszaku na pogrzeb tej siostry, męczenniczki.

W roku 1848, gdy po wielu smutnych przejściach cierpkich kolei losu, popadłem i ja za drugimi do

tej samej cytadeli i dostrzegłem tam na pół zatarty napis: „Mamo, ach mamó kochana!” jak gdyby igielką, ręką kobiecą wryty nad łóżkiem mojem, przysłała mi myśl, czy nie byli on przypadkiem dziełem nieszczęśliwej mej niegdyś sąsiadki? Wi-nieniem jej był kilka błogich chwilek mego żywota; lecz niedługo to szczęście trwało.

Gras znowu za parę dni się zjawił.

U ober-policmajstra zastałem tym razem Brzezań-skiego i Bolesława.

Hrabia B. kazał mi pisać kilka bez znaczenia wierszy za dyktandem, to powoli, to prędko, to cieższem, to grubszem piórem, już to większemi, to znowu mniejszemi literami, potem porównywano to z jakimiś listami, lecz nie się nie pokazało. Następnie oddalono mię do przedpokoju, a gdy powróciłem, czytano już gotowy, spisany bez em-nie protokół, protokół najnielogiczniejszy, oskarżający mię: o szkodliwe wpływy, złe zamiary, chęć udania się do Krakowa i namowę do tego innych; słowem, zawierający dużo gryzmołów, a nie poparty zgola dowodami.

Kazano mi podpisać. Falsze podpisywać na wła-sną szyję? odmówiłem.

Krzyczano, straszono; nie wyrzekłem ani słowa.

Bolesława stawiono mi na świadki — ten zakrył sobie twarz rękoma i milczał.

Brzezańskiego nakoniec przedstawiono mi bez-czelnie jako także aresztowanego z mej przyczyny, gdy tymczasem ma dobra sąsiadka widziała tego znanego jej ptaszka, przechodzącego poprzedniego

dnia z wolnej nogi przez dziedziniec ratuszowy. Zmierzyłem go więc płomieniejącym wzrokiem.

„No! Co go się boicie, już go więcej nie obaczy-cie,” rzecze Abramowicz.

„Judasz, oskarżyciel, odrzekłem natychmiast, nie ma prawa świadczenia zarazem; a słabego charak-teru uwięzionego Bolesława zeznanie, może być zmuszone.”

„Cokolwiek bądź, ostrzygą ci twoją wymu-skaną fryzurę i będziesz karabin piastował; a na odprawkę dam ja ci siekaninę!” były ostatnie słowa policmajstra.

Zszedłszy na dół z hrabią B. do kancelaryi Grasa, ostatni, z udaną wściekłością (zapewne zapominając o mojem podobieństwie do jego ulubionego kuzy-na), napadał na mnie szydlerczo, nadstawiając wy-raźnie swój opasty policzek, jak gdyby najgorętszem było jego żądaniem uzyskać na nim piętno mych pięciu palców.

Ale jakiś instykt ochronny wstrzymał mię od tego.

Rozum w podobnych zdarzeniach, broń to pono najlepsza; obracając się więc ku hrabiemu:

„Biorę pana na świadka, w braku kogoś innego,” rzekłem z całym chłodem, na jaki się tylko zdobyć mogłem, że nie mam zgola zamiaru, najmniejszego zamiaru, wykroczyć przeciw prawu karnemu pod aresztem, by wywołać przez to uśmiech zadowo-lenia na twarzy wielmożnego komisarza po-licyi.

Po tej ostatniej próbie, nie widziałem więcej ani Abramowicza, ani jego bandy.



*Potęga wyobraźni w więzieniu. Rozmowa przez dziurę w ścianie.*

Wyobraźnia moja, nigdzie nie była tyle twórczą, samodzielną, ile w cytadeli; ale pamięć nigdzie nie była tyle, ile tam niedołączna. Płody wyobraźni z różnych okresów życia, są mi obecne aż do tej chwili; te zaś, które ożywiały mię wśród więziennej samotni, opuściły mię niemal wszystkie za pierwszym krokiem ztamtąd; ich rysów nie przypominam sobie.

W cytadeli tak się czułem słabym, bezwładnym, że, chwiejąc się, stapałem. Okazuje się, że w wątleń ciele silna wyobraźnia zamieszkać może — ale jest ona gorączkową. Gdybym miał być pióro, zdaje mi się, że kreśliłbym szkice kolorytu żywego, jaskrawego, uderzające wydatnymi kształty i szatą godową. Wszak i to winienem po części wyobraźni, że zdołałem przeniknąć tajemnicze abecadło, na rzucony ku temu wątek.

Ale, jak głodnemu chleb na myśli, tak mnie, odziedlonemu od cudnej przyrody, stawała ona zawsze na oczach. Rzeźbiarz potrzebuje marmuru na sukienkę dla idei, malarz farby; mnie potrzeba było błękitnych wstąg i smugów niebios, na tło do mych marzeń. Rzeczywiście, czyż te czarowne panoramy, jakich żadna optyka, żadna latarnia magiczna wydać nie zdołała, kwieciste doliny, ruczaje, jakieś szczęśliwe sioła, grody całe, nie przesuwały mi się czasem w mózgu, dla tego jedynie, że mi zbywało nawet na powietrzu?

To znowu, jak promienie słońca, odbite od zwierciadła, biegną gdzieś w nieskończoność, tak wyobraźnia, w odbiciu się od ziemi, ulatywała w wyższe sfery, w oderwaniu, niezależne, istniejące dla nich samych, jak piękność dla piękna, prawda dla prawdy.

Dumania kończyły się zwykle wieczorem, gdy służba zaczynała się krzątać koło przygotowania światła, zbierania naczyń i t. p., bo wtedy na zapukanie sąsiada, jak przebudzony lunatyk, powracałem do świata rzeczywistego.

Pewnego razu umówiliśmy się, aby wywiercić dziurę w ścianie, w celu łatwiejszego porozumienia się i zaraz wzięliśmy się do roboty. Ściany, pomiędzy numerami, są cienkie. Więzienie bowiem zrobione zostało z koszar; podzielono wielkie izby na małe, za pomocą tarcic, obitych trzcina i tynkowanych. Miejsce na otwór wybraliśmy między spojeniem kalfi pieca wspólnego, bo deska tam do wkleśności nie dochodząc, nie mogła tamować roboty.

Praca była długa i mozolna, gdyż tylko w upatrzonych chwilach mogliśmy ją wykonywać; a za całe do niej narzędzia, były drewniane łyżki, których trzonki służyły nam za świdarki. Co wieczór zatykało się szczelnie chlebem zaczęta robotę, nie zaniedbując zamalowywać zalepionego miejsca zbraną ze ściany farbą. Kropla wody kamień przebijają — koniec końcem, i dziura stanęła gotowa.

Kolega mój był także samotny. Otóż jego męstwo podtrzymywało moje, i wzajemnie. Jeżeli jeden wpadał w głębokie, przerażające zamyslenie, drugi

go rozweselał jakąś uwagą, uśmiech wywołującą; to znowu, z rozmów wspólnych pryskała iskra światła, jak z uderzającej się stali o kamień.

Pewnego razu, wysunąwszy do mnie słomkę: „przytknij do niej usta i ssij” rzecze. Przytykam je więc na wezwanie i ciągnę. Poczuszony smak wina, zdawało mi się, że nektar pokrzepiający rozlewa się po mych żyłach. „A teraz — dodał — powinszuj mi imienin.”

Jakże się ucieszyć musiała matka tego biednego, słabowitego chłopca, siedzącego już czwarty rok w cytadeli, pod sądem wojennym, gdy otrzymała pozwolenie przesłania mu dnia tego szklanki wina, kilku ciastek i cygar!

Ciastami dzielić się mu było niepodobna; ale cygara paliliśmy wspólnie. Ja otwierałem usta, a on puszczał mi ze swoich kłęby dymu, przez słomkę — co złapałem, to i połknąłem.

Gdy poznaliśmy się bliżej, opowiadał, jak udała mu się raz sztuka napisania do matki, między krochmalnemi faldkami koszuli, odesłanej do prania, także słomką z siennika, jaka mi służyła za kieliszek i cybuch; kawałek zaś papieru zagryzmołonego, pozostały z przysłanego ze szpitala proszka, spalony i zmieszany ze śliną, miał być wysmienitym atramentem.

Długie częstokroć były nasze pogadanki. Trafny był pogląd jego na Cytadelę:

„Szczęśliwyś, rzekł, iż sprawa twoja jest takiego rodzaju, że sam bronić się w niej możesz na wszystkie strony; ale proces, wytoczony tutaj razem lub kilkunastu osobom, należącym do jednej sprawy,

a rozdzielonym w więzieniu i badanym pojedynczo, wystawionym na zasadzki, jakie chyba piekło wymyśleć zdoła, jakże jest trudnym do przetrwania! Z jednej strony, ciągną trwoga zaszkodzenia innym i całej sprawie, pożera więźnia — z drugiej, trudność walki przeciwko ustawicznemu obwinieniom i podejrzaniom zwierzchności; niebezpieczeństwo zaś wzmaga się jeszcze w miarę nowych odkryć i aresztowań. — A jakże boleśnie, gdy te odkrycia wychodzą z własnego koła stowarzyszonych, podające wrogom nieć do kłębka! Są między nami nawet tacy nieszczęśliwi, którzy upadając na duchu pod zadawanemi im cierpieniami, plotą niestworzone rzeczy, w nadziei polepszenia sobie losu. Mieszają do sprawy nieznane im osoby; a komisya cieszy się: raz, że potrafiła zdemoralizować służącego świętej sprawie, a słabego człowieka, częstokroć do tego stopnia, że ten, opamiętawszy się, brzydzi się samym sobą i staje się godną politowania ofiarą; powtóre, że upatrzwszy jakieś najmniejsze prawdopodobieństwo w słowach szalonego oskarżyciela, aresztuje niewinne ofiary, nie wiedzące o niczem, z których jednak rzadko kogo nie potrafi zrobić winnym; bo na tem polega jej interes. — Wykazując jaknajwięcej przestępców politycznych, członkowie jej dowodzą przez to samo o potrzebie i ważności swoich urzędów — a że niewinnych Polaków kości spróchnieją na wygnaniu, to się bynajmniej nie sprzeciwią polityce Cara. Pozorem zaś winy nie trudno jej okryć aresztowanego. Umie zaplątać go w sieć tak dziwnie skoja-

rzonych intryg, że, przywiedziony do ostateczności, choć nie wykroczył w niczem, będąc wolny, zrobi coś w niewoli, czego nie zaniedba ona podciągając pod prawo karne moskiewskie, złożone z ukazów różnych Carów i Caryc, sprzeczne w sobie, dające się naciągać wedle woli sędziów.“

„Tutaj mój bracie, podejrzani tyranstwu, staliśmy się wzajem sobie podejrzany, bo inaczej być nie może w jaskini szpiegostwa. System niesprawiedliwości i kłamstwa, tłumi nie w jednej duszy pojęcie dobra i prawdy, uczucie miłości Boga i bliźniego, a wyradza — nienawiść!“

Żałując, że nie mogę przytoczyć wiele z opowiadań mego kolegi. W całym opisie opuszczam muszę szczegóły ciekawe, któreby służyły za dowody do niego — aby nie dać wrogowi możności ścigania kogoś, z niniejszym wydaniem w rękę.

Przez otwór mogliśmy rozmawiać o każdej niemal porze, jakkolwiek zcicha, dosyć jednak śmiało, gdyż słuch więźnia, jak wzrok i wszystkie zmysły, tak staje się czujny, że najmniejszy, a złowróżby szelest w korytarzu, nie uchodzi jego uwagi.

Żandarmowi się zdaje, że może więźnia podejrzeć, podsłuchać; a nie wie, że zaledwie się poruszył w krześle, jeszcze kroku nie zrobił, już szmierz jego płaszczą spłoszył mię jak ptaka, od miejsca gawędy; i gdy, pocichutku na palcach, skradał się pod okienko, rachowałem jego stąpania.

Ale nadeszła ogólna rewizya — dziurę znalezione — kołkiem zabito — a nas rozprowadzono do innych kazamat.

Wezwano mię do komisji. — Jolszyn wpadł w kanodziejski zapał: dziurawki mury skarbowe! taka to zbrodnia, że aż Morok zdawał się być nią zgorzszony. — Pomimo tego jednak, oświadczone, że mi pierwszy i ostatni raz przebaczą. Przebaczone — jednak pieczeń i jarzyna, która zaczęła mię już dochodzić, od tego czasu cofniętą została.

Od tego także czasu, nie słyszałem nic o losach współtowarzysza.

*Poglądy z okna. Więżniowie pomieszanych zmysłów.  
Podejście komisji śledczej.*

Jakkolwiek zmieniono moje nazwisko na 72, jakkolwiek głęboki żal mię dręczył po stracie kolegi, przecież w nowym numerze znalazłem pewną, chociaż smutną, rozrywkę. Mieszkanie było na piętrze, okno wychodziło na dziedziniec; wdrapałem się na nie, aby zobaczyć co się w cytadeli dzieje.

Więzień samotny przechadzał się powolnym, chwiejącym krokiem. Dwaj żandarmi go strzegli: jeden miał utkwiony wzrok w więźnia, drugi rzucał oczyma na okna więzienne. Warty przy bramie parkanu stały, swoim porządkiem, nieruchome i milczące jak posągi. Więzień był błady, jak mury go otaczające.

Po nim wyprowadzono drugiego, a następnie innych. Domyslałem się, że to byli ci, z którymi zakończono śledztwo, skoro dozwolono im wychodzić. Przechadzka każdego trwała zaledwie kilka minut, a dzień cały nie wystarczył dla wszystkich, bo najazwyczaj nowe oblicza postrzegałem.



Niekiedy ukazywało się dwóch, a rzadko trzech razem. Nie zajmowali się rozmową wśród przechadzki, bo każdy miał droższe nad wszystkie inne, zajęcie: wciąganie widoczne powietrza w siebie.

Stosunkowo do liczby cywilnych więźniów, zbyt wielką zauważyłem ze stanu duchownego. Z wojskowych zaś, jednego tylko junkra widziałem, w ułożeniu którego tyle było udatności, a w obliczu potęgi ducha, że nigdy jego rysów zapomnieć bym nie mógł.

Nie zapomnę także pewnego mężczyzny, w sile wieku, na którego czole jaśniał geniusz i nieszczęście.

Nie zapomnę i chłopka, stangreta w karazyi. Z ruchów jego, przyzwyczajonego do życia czynnego, łatwo było wnosić, ile gnuśne życie więzienne było mu ciężkiem. Widziałem go raz wychodzącego, w czasie poczynającej się burzy; żandarmi chcieli skrócić przechadzkę; wtedy boleść na jego twarzy, którą wznosił ku niebu, była uderzającą. Zdawał się chcieć zatrzymać jeszcze chwilkę, posłuchać grzmotów i napawać deszczem.

Patrząc na tych ludzi, których wzrok rokował najpiękniejsze nadzieje dla ich rodzin i dla kraju wyludnionego z dobrych obywateli, więdnących, jak przesadzone rośliny z pod słońca do ciemnicy, lza wilży powiekę.

Na drugim dziedzińcu, grono kobiet stoi u wrót, smutno spoglądając na mury. Zdają się one oczekiwać kogoś. Są to żony, matki i siostry męczenników. Czy nie zebrały się na pogrzeb jednego

z nich? Na tę myśl, Józef z Arymatei, Nikodem i orszak pobożnych niewiast, przedstawił mi się w wyobraźni.

Ale Morok nadchodzi, napuszony, zdaje się sprawać obrzęd Cytadeli. Focht, jego pomocnik i posługacz, przyjmują od kobiet posyłki dla więźniów. Był to dzień posyłek.

Gdyby dziecię, nad którego kolebką zamysłona matka śpiewa, mogło zrozumieć jej uczucie, jak je rozumiał Rafael i wyraził na czole Madonny—gdyby mogło pojąć święty ogień, palający w jej oczach, utkwionych w jego twarzyczkę, nie zniosłoby jego blasku—byłoby to nad jego wątłe sity. Gdyby więzień przejrzał mury i obaczył swą narzeczoną, z obliczem branki boleściwej, podstępującą z prośbą do Moroka, nie zniosłby tego widoku.

Moimi nowymi sąsiadami byli: z jednej strony ksiądz protestancki, zazwyczaj zatopiony w modlitwie; z drugiej, dość rozmowny sąsiad; a za nim, pod № 74, siedział krogulec.

Historja krogulca jest następująca:

Pewnej nocy, dano znać Morokowi, że więzień 74, coś drapie po ścianach. Morok wpada i pyta go stojącego na oknie, co to znaczy?

„Co znaczy? a czyż krogulcowi drapać nie wolno u siebie w klatce?”

„Jakto krogulcowi?”

„A cóż to, czy nie widzisz, że m krogulec.”

„A więc № 74 umyślił się w krogulca bawić?”—  
rzecze z drwinkami Morok.

„Czujesz moje skrzydła?“ — zawołał pierwszy, i skoczywszy na barki Moroka, zaczął go tłuc lokciami i szarpać.

I od tej chwili został krogulcem.

Nic go z tej manii wywieźć nie zdołało. Niekiedy jednak, rozmowy jego były rozsądne i warte posłuchania.

Opowiadał mi sąsiad pewne zdarzenie, jednoczesne z naszym w cytadeli pobytom, które może przeszło w tradycję tameczną. Jeżeli jakie miejsce rozdzielonej a jednolitej Polski mogłoby dostarczyć podań do wielkiej tragedyi narodowej, to bezwątpienia Cytadela. Tam naprzykład, spalenie się dobrowolne w pokoju, rodaka Levittoux aby nie zdradzić pod mękami powierzonej mu tajemnicy, ale ją nieskalaną raczej ponieść do grobu, czyliż nie jest rysem bohaterskiego samobójstwa, które zaćmiło czyn Scevoli?

Oto opis tego wypadku:

Był na Cytadeli sąd na miateżników —

Więc siedli, jak czarci za stołem;:

Jenerał, adjutant i czterech piszczyków,

Ze sercem miedzianem i czołem. —

I rzecze adjutant, „Bat’ku Jenerale,

Czart chyba się z Lachów co dowie.

Wziął palki Lewitu, lecz milczy zuchwale.

„Sto palek! pod palką odpowie.“ —

Straż stawia Lewita, skutego w kajdany,

I biorą na rozpyt go kaci.

Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany,

A sędzie wołają: „Zdradz braci!“

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej

Krzyż z Panem Jezusem na ścianie.

Lewitu wzrok jasny utopił w krzyż pański,

I modlił: „Daj siły o Panie!“

I poszedł pod palki w pół nagi bez lęku —

Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały;

Choć bito go w rany, nie wydał i jęku,

I milczał jak skamieniały.

A gdy go złożono na nędznej pościeli,

Rozważał czy ciało wytrzyma,

Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli

Sędziowie. I poczuł: „Sił nie ma!“

Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,

Bo sto ich zginęłoby może;

Toż westchnął do Boga o męki ostatnie,

I ognia nasypał pod łożę. —

I usiadł na łożu, spokojny bez lęku,

Gdy jasne płomienie wstawały;

Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku,

I milczał jak zakamieniały.

Przez kraty wnet bracia błysk ognia ujrzeli,

Straż alarm krzyknęła w podsieniu;

Jenerał i draby wpadają do celi:

Lewitu już skołał w płomieniu.

Więc z grozą ten węgiel rzucili w rogozę,

I w ziemi kazali pochować — —

Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź Boże,

Bo żywym ją będziesz rachować! —

Zdarzenie, opowiadane przez sąsiada, jest następujące:

Było to w roku 1849. Przywieziono do cytadeli 17 letniego chłopca — nazwiska jego nie pomnę — który, przy naoecznej konfrontacyi, w sali posiedzeń, z innymi, zadziwiał mocą charakteru, nad wiek swój. Mając świadków przeciw sobie, a nie chcąc dać żadnego objaśnienia w sprawie, został wzięty na tak zwane punkciki. Skazanemu na nie, zastru-

bowywują podobno głowę, w nowego wynalazku maszynę, do przyznania; dając niekiedy szczutki w nos, dopóki krew z niego nie pociecze. — Podobnie niegdyś w pogańskim Rzymie; kat nasycal się ofiarą, zanim przystąpił do gruchotania jej kości. — Młodzian zniósł torturę, nie wyrzekłszy ani słowa, ale wychodząc z pod niej, zanucił oprawcom zwrotkę: Jeszcze Polska nie zginęła! Przeraziła ona potem przez kilka nocy swym grobowym tonem więźniów, dopóki ofiara nie przeniosła się z nią do wieczności.

Z mym nowym kolegą mogąc tylko znosić się wieczorem, mało więcej dowiedzieć się mogłem; i tego w niedługim czasie komisya odemnie oddzieliła, by zastawić na mnie sidła swoje.

Rzecz tak się miała:

Pewnego razu, słyszę zwykle, jednorazowe stuknięcie w ścianę, i odpowiadam tym samym znakiem—następnie, niewidoma ręka zaczyna rozmowę—lecz, jak fałszywy pieniądz, który kasjer rzuca między rulonem innych, uderza odmiennym dźwiękiem wprawne jego ucho, tak mię uderzyło na ten raz pukanie. Nie była to już ręka mojego kolegi, nawięła do języka murów; ale zastępowała ją inna, nierównie wolniej i dobitniej pukająca: „Dwóch emisaryuszów dziś powieszono—wojna w świecie—górną naszą!”

Na tę nowinę, odpowiedziałem jednorazowo, a silniejszym stuknięciem, dając do poznania, że nie rozumiem; i pomyślałem, że ponieważ przybyłem z zagranicy, wyraźna to na mnie zasadzka. — Po

wyjeździe z cytadeli na wygnanie, odczytałem gazety z powyższej epoki, zapytywałem Warszawian, nie nie potwierdzało doniesionego wypadku o emisaryuszach. — Ręki prawdziwego kolegi więcej nie słyszałem, fałszywa także znikła, a numer sąsiedni pozostał pusty. O! więzien z taką łatwością poznaje współ-towarzysza dłoni, z którym już obcował, jak się poznaje dźwięki muzyki, tępa broni, chód, lub głos przyjaciela.

Znowu, ujrzawszy się samotnym, oderwałem kawalek obeasa od buta, wydobylem świeczek, i tym pisałem po ścianach, dla rozpuśdzenia nudów. Z początku mi zacierano, a potem pozostawiano. Wśród nocy zaś bezsennych, rozrywałem się osuwaniem myszy, igrających i nie uciekających odemnie.

Ale wielkie było me zdziwienie, gdy pewnego dnia żandarmi na przechadzkę mię wyprowadzili—gdy w godzinę potem, historję Rossyi Karamyzyna mi przyniesiono; jakoteż nową fajkę, na długim pieprzowym cybuchu, i paczkę zukowa. Coby znaczyło to nagłe udobruchanie się komisyi? Zapaliłem fajkę mówiąc sobie: „Trzeba się mieć na bacznosci.”

*Komisya bierze mię w obroty.*

Gdy po dniach kilkunastu zostałem przywołany do komisyi, malowała się na twarzach członków pewna ku mnie życzliwość. Przy jenerale Jolszynie stał próżny fotel, na którym kazał mi usiąść, i oświadczył, że po pilnem odczytaniu mego pro-



tokółu, zdaje mu się postrzegać, że mam tyle zdrowego rozsądku, iż nie wątpi, że powrót mój do kraju nie był w złych zamiarach. — Że zdaje mu się, i chciałby temu wierzyć, że nie należą do liczby owych półgłówków, którym się roi, że 100,000 bagnatów zwalczyć kiedy potrafią. Ale że, ponieważ przedstawienia komisji o aresztowanych, względem wyjednania dla nich uwolnienia u władz wyższych, muszą być poparte dowodami, aby nie były odrzucone; danie więc ich, odemnie samego zależy. Że jeżeli tylko w całym postępowaniu mojem podczas śledztwa, okaże się szczerą prawda, wierność monarsze, to mogę być pewnym, że powrócę do domu. Pewność tę zaręczył słowem honoru. Potem, zaczął przeglądać leżący przed nim protokół, potrzebując głową nad niektórymi jego ustępami, z wyrazem współczucia. Przez ten czas, cichutenko było w sali — nikt się nie odzywał. Portret Mikołaja wisiał na ścianie, a wszystkich oczy były spuszczone na zielone sukno stołu, na środku którego stał krucyfiks. Zimne tylko, szare oko Leichtegego było na mnie zwrócone.

„Musiałeś bardzo cierpieć młodzieńcze — rzecz nakoniec Jołszyn, — w tym wieku, i już tyłeś się tyrał po więzieniach. Piszesz, iż na etapach walczyłeś między życiem a śmiercią. Pierwszy jesteś, który nam powracasz z etapów, i który możesz opisać, co tam postrzegłeś, i co ci się najwięcej uczuło dało. Zapewne krzywdzono cię nadużyciami, które cię skłoniły do ucieczki, nieprawdaż? Ale cesarz jest miłosierny, miłosierny. Proszę nam

opisać to wszystko; nie będzie to dla pana bez korzyści.“

Otrzymałszy kilkanaście arkuszy papieru, powróciłem do celi.

Wyznaję, że byłem do tyle rozbrojony na chwilę łagodnością komisji, że zapytywałem siebie: czy podobna, aby ludzie, chociaż zepsuci, byli do tego stopnia złymi, iżby jak tygrysy rzucać się mieli na drugich, bez przyczyny? Gdy tymczasem, gorące wytknięcie cierpień w mym opisie, gdzie etapy były schwycone jak na dagerotypie, posłużyły tylko wrogom za próbkę mego charakteru, na moją niekorzyść.

Winienem tu nadmienić, że Cytadela ma swoją oddzielną literaturę, swoich pseudo-filozofów, sofistów, podobnie jak Sybir i Kaukaz. Może kiedyś wyjątki z ich płodów, będą umieszczone na kartach historii narodu polskiego, jako dowód dla następnych pokoleń, przez jak ciężkie próby naród przejść musiał, zanim odzyskał samodzielność.

W tej warowni, rząd proteguje piśmiennictwo i talenta, chcące mu służyć. Skazuje jednych na samotność i beczynność, uważając ich za straconych; a nie przewiduje, że w tej surowej szkole milczenia, rzeczywiste zdolności same się rozwijają; drugim, dopomaga do czytania, do nauk: dlatego, jedni z nich piszą historię, inni odpowiadają na ważne kwestye w polityce, ekonomii, administracji i t. p.

Moje pióro widać na nic się nie zdało, bo mi już nic więcej pisać nie kazano — i znowu dni mi upływały na rozpamiętywaniach.

Parę tygodni przeszło.

Wezwany do komisji, zostałem przyjęty z podobną jak poprzednio względnością. Tym razem Leichte przemawiał. Oznajmił nawiasowo, iż powinienbym zrozumieć, że lepiej jest dziesięciu niewinnych wydaleć z kraju, aniżeli wpuścić jednego szkodliwego — że komisja, przychyłając się do opinii, na moją korzyść wyrzeczonej, przez JW. Generała prezydującego posiedzeniu, chciałaby poprzeć mię wobec rządu, lecz, że zbywa jej jeszcze na potrzebnych ku temu dowodach z mej strony. Po tych i tym podobnych oświadczeniach, podstąpił do szafy i wy dobył Almanach de l'Émigration Polonaise, kazał mi go czytać i mówić, czy znane mi są niektóre osoby, w nim umieszczone, lub przynajmniej, czy o nich co słyszałem. Następnie, wziął książkę odemnie i sam zapytywał, czy znam tych lub owych. Mało kogo z nich znałem, o niektórych słyszałem i mówiłem mu o tem. Pytania Leichtego o rzeczach publicznych, uważałem za wyraźne mię próbowanie.

Z toku, zapytał mię, czyli nie znałem niejakiego Mroczkowskiego za granicą.

„Z tym rozmawiałem tam razy kilka“ — rzekłem.

„A gdzie on się teraz obraca?“

„Nie umiem panu powiedzieć, podobno w Niemczech.“

„Zdaje się, że on należał do partji demokratycznej?“

„Tak jest“ — rzekłem.

Następnie Leichte spisał moje zeznanie i podał do podpisu. Podpisując je, myślałem: pokiwaszcie palcem w bucie tamtym, co są za granicą.

Ale zbieg okoliczności dał mi wkrótce poznać, że byłem w okropnym błędzie niedoświadczenia; i że właśnie wtedy, gdy się uważałem bezpiecznym od zewnętrznych wpływów na sprawę moją, wpadłem znienacka w zastawioną matnię. Może sobie czytelnik wystawić moje przerażenie, gdy w kilka dni potem, przeglądając wedle zwyczaju miseczki przy obiedzie, na jednej z nich postrzegłem wykropkowaną, pierwszą połowę nazwiska Mroczkowskiego.

Powziąwszy przekonanie, że i on jest w warowni, że go jakieś fatum rzuciło na drogę życia mego, byłem jak piorunem rażony. Zginęliśmy obadwa, mówiłem sobie. Teraz te hydry przedstawia moje zeznanie tamtemu — może zdołają poróżnić nas — wymogą jego zeznanie przeciwko mnie — rozgałęzią sprawę na lat kilka — i kto wie, czy obydwu nie oddadzą pod sąd wojenny.

Chciałem wleźć na okno, w nadziei ujrzenia go na przechadzce, lecz, jak na złość, popadł na dezurstwo żandarm niezmordowany w zaglądanu do okienek. Brakło mi cierpliwości. Nie mając na kim się zemścić za podstęp komisji, a więc zemściłem się na żandarmie, w sposób następujący:

Wydobywszy sztyft z obcasa, włożyłem go wieczorem w zapaloną świecę, przy samym knocie. Sztyft, rozgrzewając się, opadał, i świeca szybko, topiąc się, splanęła. Wiedziałem, że żandarm drugiej świecy z nikąd nie dostanie, bo jest zamknięty

wraz z wartą, w korytarzu na noc, przez Moroka. Słuch mój zawiadomił mię także, że Morok zwykle o godzinie czwartej zrana czyni obchód korytarzy. Gdy więc świeca zgasła, pośpieszyłem wyjąć sztyft z lichtarza i oczekiwałem przybycia Moroka. Godzina czwarta wybiła, a wkrótce potem pięści Moroka zaczęły się odbijać o policzki żandarma.

Na drugi dzień, strzegł on mię jeszcze gorzej, a ja pałałem jeszcze gorętszą żądzą obaczenia Mroczkowskiego, lecz niestety, napróżno. Na okno wleźć nie mogłem.

Następnej nocy, znowu taż sama była historia z żandarmem o zgasłą świecę, lecz tym razem myślałem, że go Morok zabije. Zrobiono też u mnie natychmiast rewizję, ale sztyfta nie znaleziono; schowałem go pod język.

Nazajutrz, z żandarmem spojrzeliśmy sobie oko w oko. Moje zapytało go: „A co, czy będziesz mię szpiegował?” a jego odpowiedziało: „Farmazon! czort z tobój!” I odtąd byliśmy przyjaciela, i niemal całe dwa dni z rzędu na oknie, przepędziłem; ale Mroczkowskiego, w liczbie przechadzających się więźniów, nie postrzegłem.

W takim razie, ułożyłem plan naprędce, aby jego i siebie ratować, oddając wet za wet komisji, przy zdarzonej sposobności.

Sposobność też ta wprędce się nadarzyła. Wezwano mię i oświadczono, że Mroczkowski, którego podałem w zeznaniu za mego znajomego, znajduje się w Cytadeli; że mi go nawet widzieć pozwolą natychmiast, lecz że nie powinienem, za ujrzeniem

go wymówić, oprócz zwykłego powitania: „Jak się masz kolego?”

„Bardzo dobrze”, — odpowiedziałem. Posłano po niego. Kilka minut upłynęło, słyszałem zbliżające się kroki; opanowała mię trwoga, aby pierwszy, za wejściem, nie zechciał mię powitać. Drzwi się otworzyły, spuściłem oczy. Nie słysząc powitania, ośmielony, podniosłem je, i dostrzegłem, jak potoczył wzrokiem po sali, i mnie widział, nie patrząc wprost na mnie; miał w sobie coś imponującego. Zaledwie go poznałem.

Upłynęła chwila w milczeniu.

Leichte zniecierpliwiony: „No!” mruknął, zwracając się ku mnie. Wtedy spojrzeliśmy na siebie z Mroczkowskim, nie powiedziawszy ani słowa. Twarz jego zdała mi się być zwierciadłem myśli moich — ale widać i Leichte, Salomon cytański, w nie zajrzał, bo, zrywając się z wściekłością z krzesła:

„Łotry! oczyma gadają — jeden od drugiego lepszy — za drzwi!” — wrzasnął na całe gardło.

Jak oparzony, poskoczyłem ku drzwiom.

„Gdzie idziesz? gdzie? ani się rusz ztąd! Mroczkowski za drzwi — a ty stój tutaj!” — wołał, ukazując palcem na podłogę przed sobą. Gdy sam zostałem:

„Dlaczego go nie powitał?” — pyta.

„Kogo, pułkownika?”

„Czy nie wiesz kogo? Mroczkowskiego, któregoś widział przed sobą.”

„Dla tego, że go nie znam. Ten jest o głowę wyższy od tamtego, którego znałem.”



Śmiech szyderycy, pogardliwy, piekielny rozległ się po sali. Jolszyn zadzwonił, Morok się zjawił; Jolszyn skinął, Morok wyszedł. Za chwilę mię wprowadzono; nie zastałem już w celi ani Karamzyna, ani fajki, ani żadnej rzeczy, która pochodziła ze szcudroblowości komisji — na przechadzkę nie wypuszczono — w nocy, ktoś na strychu drzewo mi rąbał, nad głową. Nazajutrz szczekotałem zębami, bo była zima, a w piecu nie napalono. Dnia trzeciego, było znowu zbyt gorąco i swąd nadzwyczajny; zupa także niesłychanie słona — pragnienie mię paliło, a żandarm więcej nad butelkę wody, przyniesionej zrana, dostarczyć jej nie chciał.

Przypominam sobie, że tego feralnego dnia wezwał mię także pomocnik Moroka, wpisał mój ryśopis do sznurowej księgi; i że znajdował się podobnie w sali jeden z członków, pakujący do teki mnóstwo protokółów więźni, z przypiskami różnokolorowemi, wybierając się na sesję do gubernatora Warszawy.

*Jak leczą w Cytadeli choroby moralne?*

Nie będąc się rozwodził nad procedurą komisji — by nie powiedziano, że chcę piekło czernić. Nie mogąc się skąpać w rzece zapomnienia starożytnych, kreślę te kilka rysów. Nie ograniczam się częstokroć na prostym opowiadaniu faktów, bo każda historia najwięcej zajmuje, gdy w niej przeżwa osobistość historyka. Któż nie przyzna, zapatrzwszy się na wzory doskonałe, że Tytus Liwiusz, Kwintyn Kurcyusz, jako opowiadacze, pod

względem stylu, są wyżsi od Tacyta? Dla czegoż więc ostatni, tak wielki wywiera wpływ na nas? Oto, że w dziejach jego przebijają się jego ja, jego dusza, jego sąd; że zstępuje on do źródła złego, a wzruszywszy czytelnika wyłożeniem treściwem okrucieństw cesarskich, niesie mu słowo pociechy; i często kończy ustęp wykrzyknikiem boleści i oburzenia. „Jeśli nie ma bogów opiekuńczych, są bogowie zemsty!“ woła ten ucziwy poganin, rozdrażniony widokiem zbrodni, zasiadłej na tronie, a wzywający kary na występnych.

Wszystko pochodzi z góry. Ten, kogo biją, bić także będzie, gdy mu się sposobność nadarzy; drażniony, zemstą zwykle pała — bo to są naturalne następstwa. Niewola nie krzewi miłości. Wróg i zawiść, chodzą z sobą w parze. To smutno, ale tak jest! Słowa znakomitego Rosyanina, Hercena; „w naszej miłości, mieści się nienawiść“ łatwo jest zrozumieć.

W Cytadeli dostrzegłem na małą skalę to, co później w Rosyi w wielkich rozmiarach przedstawiało się oczom moim. Leichte gniecie Moroka, Morok wali żandarma, żandarm szyldwacha. Biedny szyldwach odwołuje się do artykułów wojennych, mu czytanych, mówiąc, że on ną warcie przedstawia osobę samego cara — żandarm mu odpowiada, że artykuły są napisane dla oczu Europy, a nie dla niego — i łupi go jeszcze bardziej. Tam, dyżurny oficer nie śmie zajrzeć do okienka więźnia, choć to niby jest jego obowiązkiem — zmuszony trwogą dozwierzać żandarmeryi. Z kaskiem w rękę, podstęp-

puje na palcach do wart swoich, mówi półgłosem, a spuszcza oczy przy spotkaniu się z konwojem prowadzącym więźnia. W Cytadeli wszyscy się wzajem szpiegują. Żandarm inwalidę posługacza, inwalid żandarma; prezes komisji plac-majora, komendanta twierdzy, audytorów sądu wojennego; doktor felczera, felczer doktora; i ci co się podglądają, najczęściej chodzą z sobą w parze.

Im więcej mi dopiekała komisya, im więcej mię podciągała pod kary, nieprzepisane żadnym kodeksem na świecie, ale wyszłe jak promienie, z mądrej Leichtego głowy — kary, niby nierozmysłne, przypadkowo dotykające, za które trudnoby się prawnie upominać — tem więcej tryumfowałem! i mamże wyznać, że głównie dlatego, iż zdołałem przywieźć do złości mych inkwizytorów. Ale, jak płomień dogorywającej lampy buchnie ostatecznie razy kilka, i gaśnie, podobnie było z mojem uczuciem zemsty.

Następujące okoliczności wprowadziły mię w stan osłupienia.

Pewnego razu, wyprowadzono mię na przechadzkę — by wygodniej zrobić rewizję w stancyi. — Spotkałem na dziedzińcu komendanta i byłego dyrektora gimnazjum lubelskiego a później członka komisji śledczej, Sijanowa. Byłem wtedy w tak dziwnem usposobieniu, że patrzyłem na wszystko co mię otaczało, ale nic nie zwracało pilniejszej uwagi. Minałem więc tych panów, nie skłoniwszy się żadnemu. Komendant, generał hr. Simonicz, który w niczem nie dokuczał więźniom, zdawał się tego

nie uważać — ale ex-dyrektor, wyprowadziwszy go za wrota, powrócił, i zaczął mię lżyć słowami, odgrajając podziemnym lochem. „Czy nie wiesz, kto jestem?“ wołał. „Czy mnie nie znasz?“ — Spojrzałem mu w oczy, i poszedłem dalej. Na jego oskarżenie, łóżko mi na całą noc wyniesiono.

Nazajutrz, jeszcze mię kości bolały od leżenia na wilgotnej podłodze, gdy Morok wszedł z zapytaniem: „Jak się mają?“ „Jak pies na łańcuchu!“ rzekłem. Tego dnia odebrano mi arcaby, z chleba zrobione.

Przewidując, że sprawa moja miała się ku końcowi, gdy spojrzałem na me wytarte suknie, przyszło na myśl, że Moskałe cieszyć się będą, gdy mię zobaczą wychodzącego obdartym. Chcąc zachować paleta, tarzające się na łóżku, od zupełnego zniszczenia, odrpulem kawałek brytu od przecięradła, skręciłem go w sznurek, z zamiarem przywiązania nim paleta do kraty, umieszczonej w malej framudze nade drzwi. Działo się to w nocy. Zdążyłem tylko ze stołu zeskoczyć i odstawić go, gdy inwalida wszedł i zaczępił głową o obwisły sznurek. Zrobiono alarm, sądząc, że chciałem się powiesić; dano znać Morokowi, ten wpadł zaspawy, czyniąc jakieś, niezwykłe łagodnym tonem, perswazy, które dziwną stanowili sprzeczność z jego tonem zwyczajnym — a, odchodząc, kazał okienko we drzwiach odsłonić, i wartę przy niem z korytarzu postawić.

Odtąd, wąsata twarz soldacka z wytrzeszczonymi oczyma, oprawna w ramki okienka, dzień i noc

bez przerwy zwróconą ku mnie była, za każdym moim ruchem, jak na sprężynie się zwracając. Gdy podstąpiłem do ściany w sposób, że widzieć mię nie mógł, przyzywał konwój: drzwi otwierano i zagłądano, chociażby to co chwila powtarzać się miało.

Wezwano mię nazajutrz do komisji. Sznurek już leżał przed prezesem. Na zadawane pytania, niewyraźnymi mono-sylabami odpowiadałem, z których mało co, lub nic dowiedzieć się nie mogli. Byłem już wówczas w stanie melancholicznego nastrojenia, jakiejś choroby, nieznanego mi nazwiska, która mię obojętnym na wszystko czyniła. Od tej pory raz tylko, pamiętam, jeszcze się uniosłem i, schwyciwszy inwalidę za kołnierz za to, że zostawił knot śwędzący na podłodze, za drzwi go wypchnąłem. Komisja wartę z korytarza przeprowadziła mi do celi.

Nieraz, ocknąwszy się, miałem szczerą ochotę pogawędzić z żołdatem, myśląc, że ludzie, gdyby, znali się lepiej, gdyby porozumieli się wzajem, może się też między nimi i zaufanie znalazło; ale wszystkie me usiłowania w tej mierze były bezskuteczne. Uderzyło mię atoli, szczególniejszego rodzaju wpatrywanie się we mnie niektórych. Długo nie wiedziałem jego znaczenia. Gdy jednak dosłyszałem, jak raz sztyldwach zdawał następnemu słowo: s' u m a s z e d s z y j — waryat — zrozumiałem bezeeny wybieg komisji, jako dodatek do srogich przykazów milczenia, dawanych żołnierzom.

Dzięki Bogu, zmysły moje ocalały; ale choroba sercowa wzrastała. Pragnąłem, aby zamieniła się

w smiertelną. Niekiedy, rzewną improwizację duszy, wyrażałem świstaniem. Orfeusz, szukał w lutni ulgi dla siebie—Szopen na fortepianie—Bajron na papierze—ja—w świstaniu.

Powzięto zamiar uleczenia mię, bo odtąd, sztyldwach co kilka minut podchodził do mnie z pięścią i wykrzyknikiem „Nie dumaj!”

Sam Jolszyn raczył przyjść pod moje okienko, zajrzał, zastukał, a gdy nie powstawałem z łóżka, ukazał mi, pochyliwszy się, swój epolet. Naprawdę. Ja go i bez epoletu poznałem, pomimo tego leżąc, swistałem sobie. Jolszyn i wszystko, co się koło mnie snuło, zdawało mi się być jakąś marą, nie mającą żadnego związku ze mną; i żołdackie nie dumaj! żadnego na mnie wrażenia nie robiło.

Stan ten trwał kilka tygodni. Przysłano mi książkę, fajkę, prowadzono na przechadzkę, i przyszedłem nieco do siebie. Gdy się miałem lepiej, wezwano znowu do komisji. Poraz pierwszy ujrzałem ją w koplecie. Był tam i sędzia inkwirent, w czarnym fraku, ze swoim protokółistą; był i pułkownik delegowany przez namiestnika, jako asystent ze strony obwinionego. Rzuciwszy okiem na te urzędowe twarze, przeczułem, że ostatni raz stają przed nimi, i przytomność umysłu wróciła.

#### *Pożegnanie i kazanie.*

Po spisaniu zwykłym trybem rodowodu, oświadczono, że protokół, moją ręką poprzednio skreślony, na nic się nie zdał— że ponieważ sam nie jestem w stanie pisać językiem urzędowym, pro-



tokółista mię zastąpi, a sędzia moje odpowiedzi dyktować mu będzie. Oznajmiono przytem, że co do oddania mię do wojska, rzecz ta już była rozstrzygnięta, że ponawianie jej do nich nie należy, i że śledztwo ograniczy się na mojej ucieczce z wojska. Odpowiedziałem, że ponieważ obrona moja i co do ucieczki znajduje się w zeznaniu; że opisany tam jest gwałt, wskazane źródło, które było jej przyczyną, dosyć więc jest oddzielić tę obronę od całego protokołu! bo nic więcej do tego, co raz napisałem, dodać, ani też ująć, nie mam. „Prawda jest tylko jedna“ — rzekłem.

„Ale tam są nabazgrane fałsze,“ przerwał Leichte.  
„Ażeby komuś je zarzucić, potrzeba ich dowieść.“  
Po tej przemówce, wzięto mię na pytania.

Wszystkie niemal odpowiedzi obracałem, jak na osi, na pierwszych zeznaniach, i nic w nich więcej nie wyraziłem nad to, co już czytelnikowi wiadomo. Różnica była tylko w słowach, wyrażeniach, rozwlekłości, i mnóstwie drobnych kwestyi, nie mających wprost związku ze sprawą, a wtrąconych umyślnie przez komisję, aby nagromadzić jaknajwięcej odpowiedzi przeczących: nie wiem, nie pamiętam, i t. d. a utrudniających zrozumienie rzeczy, i wzbudzających pewne podejrzenie.

Postrzegłszy się na tym zwrocie: odwołuję się do sumienia pańskiego: rzekłem do sędziego w białym halsztuchu. „Nie masz się pan potrzeby o to upominać — jestem przysięgły,“ odrzekł, i już mniej kładł podobnych pytań, jak np.: o ulicę, na której mieszkałem za granicą, o datę

jakąś, o ilość mianych przezemnie wtedy pieniędzy, i t. d., i t. d., postrzegłszy się znowu z swej strony, że już na nie zamiast przecząco, na chybi trafia odpowiadałem, w chęci nadania protokołowi cechy dokładności i prawdy.

Wspomniałem, że wyraziłem w nim to, co w pierwszym; lecz o ile tamten, własnego pióra, był treściwym i jasno rzecz malującym, o tyle ten rozwlekłym, ciemnym, i wymagającym cierpliwości do wyszukania im istoty rzeczy. Język urzędowy, umiał drobnostki wprowadzić na widok i wystawić w złem świetle, a główne punkta i energiczne wyrażenia właściwej obrony, już to opuszczać, już, na usilne domagania się moje, wpisać, lecz to sposobem dziwnej retoryki, której sekret zna tylko Cytadela — retoryki, mogącej uspić sędziów, zamiast zwrócić ich uwagę. Winienem tu przypomnieć, że protokół miał być jeszcze tłumaczony na język rosyjski, a przekładu już zeznajacemu nie pokazują.

Bezczelność komisji dochodzi częstokroć do tego stopnia, że targuje się ona z więźniem, mówiąc: „pozwolimy ci umieścić na twoją obronę to lub owo, lecz pod warunkiem, że my w tem a w tem miejscu, dodamy to a to“ — jeżeli widzą, że to, co dodadzą, będzie szkodliwszem, aniżeli to, co pozwolą umieścić, obraniającem. Jakżeby potrzeba był samemu biegłemu śledcą, ażeby się w tej grze z nimi nie oszukać.

Sędzia wraz z Leichtem wynosili się za drzwi, w celu uradzenia pytania, aby mię pokrzyżować



w zeznaniach. To im się jednak nie udało, dzięki mej dobrej pamięci.

Potrzeba było zachować zimną krew przy tej nieszczęsnej obronie, by mimowolnie nie wypowiedzieć tego, na co sidda naprzód były zastawione. Do tego chłodu wiele mi pomogło moje osłabienie ciała, i owe niezważanie na nich. Wszyscy razem krzyczą, każdy o co innego pyta, ażeby cię zmieszać, nie dać się zastanowić, lub zbić z drogi, na jaką w obronie popadłeś. Najlepiej wtedy czekać, dopóki jeden nie zacznie gadać.

Gdy dałem do zrozumienia tym ichmościom, że nie jestem na giełdzie, ale wobec ludzi, którym powierzono wymiar sprawiedliwości:

„Będzie ci wymierzona z pod sądu wojennego, jako dezerterowi, — odezwał się Leichte.

„Pod tym względem jestem zupełnie spokojny“ — zawołałem. — „Nastąpiłoby to chyba, gdyby J. O. X. Namiestnik zgodził się, aby na jednej ze mną ła- wie, sądził Generała Abramowicza“.

„Bredzi, jakgdyby przed parlamentem. Czy bywałeś na zgromadzeniach ludowych?“ — zapytał z szyderstwem.

Dopytywano usilnie, co znaczy podkowa, wisząca u mej laski, i nie chciano wierzyć, że to był wymysł rękodzielnika. Gdy, pod względem Mroczkowskiego, zacząłem się tłumaczyć tak szczęśliwie, że odpowiedź moja mogła mi posłużyć za punkt wyjścia do zupełnego usprawiedliwienia się w kwestyi, Leichte powstał i, powiedziawszy sędziemu, aby zrobił nawias w protokóle, podyktował mu wyrazy:

„Komisya, mając sumienne przekonanie, że obwiniony chce odpowiedzią niniejszą w błąd wprowadzić władzę, zabrania mu jej dokończenia.“

Zwróciłem się do pułkownika, mego asystenta. Ten, muskając sobie wąsy, wybrzdąknął słów parę, niby wstawiając się za mną, które jednak tyle mi pomogły, ile umarłemu kadzidło; a dały tylko Leichtemu sposobność do popisania się z długą perorą nad procedurą śledczą i sądową. Mówił, że adwokaci i zbrodniarzy uwolnić potrafią wybiegami prawnymi — z czarnego zrobić białe; ale że oni, członkowie komisji wojennej, wojskowi, ludzie zasłużeni i dobrej woli, gotowi do przelania krwi dla dobra kraju, noszą broń dla przecinania nią wszelkich nici, do złego prowadzących — i ukazał na swój pałasz.

Lecz nietylko Leichte, z całym swoim cynizmem, gniewał mię, ile major Szwałkowski, który w przeciwnej mu występował roli. Gdy odmawiałem podpisu, przybrał on charakter mego przyjaciela, patrona, usmierzającego niby swym wpływem uniesienia komisji i jednającego mię z nią. Wyraźna to była komedia.

„Ale zwróćcież, szanowni współkoledzy, uwagę na młodość, niedoświadczenie, dobre wychowanie człowieka, z którego kuzynem służyłem w wojsku,“ i t. d. Słowa tego faryzeusza były nieznośniejsze dla mnie, aniżeli wszystkich krzykaczy saduceuszów.

Podpisałem protokół, by się wyrwać coprędzej z jamy piekielnej.

Przy odejściu, nikt mię nie pożegnał, wyjąwszy Leichtego. Podstąpił do mnie, i głaskał z miną kota, po raz ostatni igrającego ze swoją zdobyczą, moje w sznurki polepione włosy.

„Tobie się może zdaje,“ rzecze nakoniec, „żeś wielki człowiek — a tyś dureń; ale mógłbyś mieć syna lub wnuka, jeszcze większego durnia, któryby nawet był szkodliwym krajowi, to i lepiej, że sobie pojedziesz. Szczęśliwej podróży!“

(„Obrazki Caryzmu“ — pamiętniki  
J. Gordona — Lipsk, 1867.)

---

## ZE WSPOMNIENIŃ WYGNAŃCZYCH JASIEŃCZYKA.

*Wiszyta.*

W pierwszych dniach marca 1847 r. aresztowano trzech moich kolegów. Przeczuwałem instynktowo zbliżającego się węża i oczekiwałem zimnego uścisku. Turkot każdego powozu, zbliżającego się ku memu mieszkaniu, budził mnie w nocy ze snu gorączkowego i sprawiał przykre uczucie. Tak upłynęło kilka miesięcy; powoli ścierały się wrażenia, i myśl, że koledzy trzymają się dobrze, uspokoiła mnie. Trzeci miesiąc upływał; nareszcie pierwszego czerwca, o godzinie drugiej po północy, łoskot doróżek pociągnął mnie do okna. Któż nie znał uwijającej się po ulicach Warszawy tu-sto-czerwono-ryżej figury, obciążonej ciemnonie-lonem sukmem, z czerwonym kołnierzem, pod nazwiskiem Grassa? Kreatura ta, wypełznąwszy ze śmieci Franciszkańskiej ulicy, długo roznosiła zapachki, zarabiając na chleb i cebulę; wrodzony spryt

służył mu dobrze. Szachrując po rogach ulic i po hotelach, do zapalek dołączał czasem inne przedmioty; nareszcie będąc wyrostkiem, handlował wszystkim, co z doświadczenia uznał za najzykowniejsze; znał wszystką młodzież i wszystkie piękności, i starał się być uslužnym.

Na tej drodze spotkał się łatwo z Abramowiczem, oberpolicmajstrem Warszawy a swym współzawodnikiem. Pomiędzy lotrami znajomość łatwa być musi, óbadwaj wkrótce poznali się na swej wartości, i Josiek, widząc otwierające się nowe pole dla swych zdolności, nie omieszkał korzystać. Najprzód porzucił wiarę swych ojców i z Joska stał się Józefem Grass i pod szczególną protekcją zużytego starca zbrodniarza wstąpił do służby carskiej, jako milicyant. Szybko posuwał się w tej hierarchii na wyższe stopnie, aż nareszcie Abramowicz uznał godnym swego elewa, aby był przedstawionym Paszkiewiczowi do usług. Grass był na pełnem morzu i pędził z rozwiniętymi żaglami; fortuna mu sprzyjała. Tusza zwiędłego żydziaka nabrała poważnej okrągłości, od zebranych funduszów za zbrodnie odbierał ciężkie procenta, ufny w swą gwiazdę, przy protekcji namiestnikowskiej i oberpolicmajstra, ze stopniem inspektora policyi, błyszczał, jak meteor potępienia i zagłady. Nigdy Abramowicz nie miał wierniejszego służalca, sprytniejszego ajenta, a z czasem współnika w kradzieży skarbu.

Pomysł zakupienia nieistniejących wołów dla armii cesarskiej, żywienie tychże i nagły ich pomor

dają pojęcie o godności tej trójcy. Godna zaiste trójka: Paszkiewicz, Abramowicz, Grass. Potwory te, piastując władze najwyższe w kraju, każdy w swym zakresie, mieli rządzić narodem, co tyłu świętych i bohaterów wydał ze swego łona! O! straszna to ironia, na wspomnienie której krew ścina się w żyłach!

Grass, jako inspektor policyi, wysyłany był z komisarzami cyrkulowymi w towarzystwie żandarmów i szpiegów na połów ofiar, które wskazała komisya śledcza lub pierwsza lepsza denuncyacya. W takim razie ofiara, która miała wpaść w szpony szakali, była śledzona dzień cały przez niewidzialnego szpiega, dopóki ten ostatni nie przekonał się, że zwierzyna jego powróciła do domu i udała się na spoczynek; wtedy biegł szpieg z raportem do Grassa i zaczynała się obława.

Mieszkałem z Karolem G.; wieczorem przyszedł kolega Antoni C., a że smutno było na sercu, cicha i smutna była pogadanka, i nie spostrzeżliśmy, że już dwunasta godzina. Późno było wracać Antoniemu do domu; złożyliśmy więc dla niego posłanie, jeden materac, drugi poduszkę, okrył się płaszczem i wszyscy trzej zasnąliśmy w oczekiwaniu, co Bóg zesła jutro.

Jak już powiedziałem, od czasu aresztowania kolegów drażliwy byłem na turkot powozów, dlatego też obudzony nim, wyskoczyłem do okna. Na ulicy stały dwie doróżki, z których żandarmi wyladowywali figury z czerwonymi kołnierzami; zimno mnie przebiegło, jakby za dotknięciem padalca; uwijali

się około doróżek, a wszystko cicho, szeptem, by nie splotzyć zwierzy. Obudziłem kolegów: „Żegnaj was, kochani, łapacze już są na dole, za chwilę będą tu; spokojność i milczenie.“ I położyłem się w łóżko, a na schodach słychać już było szepty i światło zabłysło; zastukano najprzód powoli, potem silniej, nareszcie odezwał się chrapowaty głos Grassa: „Otworzyć!“ Karol wstał i otworzył. Naraz wpakował się Grass, komisarz cyrkulowy, czterech żandarmów, dwóch policyantów i dwóch jego mości o szarej cerze, coś bardzo przypominających puszczyków lub nietoperzy.

„Kto pan jesteś?“—zapytał Grass, który tu zdawał się odgrywać główną rolę.

„Karol G.“

„A tu kto śpi?“

„Antoni G.“

„Kto tu mieszka więcej?“

„Julian Jasińczyk.“

„A gdzie on?“

„W drugim pokoju.“

„Za mną“ zakomenderował opasły żyd, i w tej chwili, jakkolwiek udawałem mocno śpiącego, ujrzałem przed sobą ryżą facyatę zbira, dwóch żandarmów, poza którymi czał się puszczyk. Grass zbudził mnie.

„Jak się pan nazywa?“

„Julian Jasińczyk.“

„Proszę wstać i pokazać swoje rzeczy.“

Wstałem,—oto komoda, tu książki, manuskrypta i t. p.

Zaczęła się u mnie rewizya, kiedy w pierwszym pokoju komisarz cyrkulowy na dobre już gospodarował.

Po najsumienniejszem przetrząśnięciu ruchomości i nieruchomości, nie przepomniano zajrzeć nawet do poduszek krzeseł i materaców, wszędzie był nos i lapy żandarmów, Grass nic nie znalazł.

„No, niech się pan teraz ubiera, pokażesz mi pan mieszkanie kolegi.“

„Czy nie Pawła?“ (aresztowanego przez Grassa przed trzema miesiącami).

„Niech pan nie żartuje.“

Ubierałem się więc, Gras przeszedł do pierwszego pokoju—zostałem sam; myśl ucieczki jak błyskawica przebiegła na chwilę, schwyciłem przeszcieradło, przeciąłem na pół, związałem i otworzyłem okno; już miałem rzucić jeden koniec, lecz spojrzawszy na ulicę, spostrzegłem pod każdym oknem żandarma. Nadzieja stracona, rzuciłem przeszcieradło i wróciłem do towarzystwa. Tu kończyła się rewizya, pijany komisarz robił rozmaite kwestye nad książkami, nie znając języka, w którym były pisane.

Pożegnałem Karola i Antoniego—okropna to była chwila, porzuciłem znajomych, przyjaciół i to co się kochało i o czem się marzyło, zgoła wszystko, by rzucić się w przepaść cierpienia i bólesci.

Wyszliśmy na ulicę, Grass bardzo grzecznie poprosił mnie do doróżki, a sam, sadowiąc się około mnie, przysiadł mi połowę płaszcza, który kazał mi wziąć na rękawy, zapewne z troskliwości o moje



zdrowie. Naprzeciw usiadło dwóch żandarmów i ruszyliśmy. Przejeżdżając przez Zakroczymską ulicę, gdzieś na poddaszu błyszczwały już światełka, może i tam wizyta szakali! Mijaliśmy domy, gdzie miłe spędzałem chwile; czy was zobaczę kiedy, pomyślałem, przesyłając ostatnie pożegnanie. Minęliśmy kościół Franciszkański, szczere westchnienie posłałem do Boga, błagając o siłę i wytrwałość. Dorożka toczyła się szybko, wyjechaliśmy z miasta.

„Nudny z pana towarzyszu, panie Grass,“ — rzekłem do mego sąsiada.

„Jako? panu się chce gadać?“

„A dla czegożby nie, jadąc na taką stypę, czyż to nie wesoło? Ilu też pan dziś wyekwipowałeś do piekła?“

„Co to piekło? niech pan nie wierzy, mnie także serce boli, ale cóż zrobić? to służba, człowiek musi żyć.“

„Tak, prawda, wszak ryba rybę łyka.“

„No, co to gadać o tem, ja widzę, że pan spokojny, to pan nie winien, wytłómaczy się i wróci do domu.“

„A czyż to dosyć być niewinnym, aby powrócić ztamtąd, gdzie jedziemy?“

W tej chwili dojeżdżaliśmy do pierwszej bramy cytadeli. Stare okopy przybierały coraz wyraźniejsze kształty, paszczę armat zdawały się czekać chwili, by roznieść śmierć i zniszczenie. Przechodząc, sztyldwachy, jak widma pokutujące, zawodziły przeciągłe „Słu-szaj.“ Stanęliśmy pod bramą, Grass zawołał; po nad bramą okazał się kask, bagnet,

a następnie szyja i kadłub, i ta ruchoma mumia zapytała: „Kto tam?“

„Ja, inspektor policji, Grass.“

Mumia znikła, po chwili ukazała się druga. „Hasło?“ zapytała. Grass wybelkotał jakiś wyraz, mumia znikła, brzękły łańcuchy, zaskrzypiały zawiasy, rozwarła się paszcza, by połknąć ofiarę. Przybyliśmy do drugiej bramy. Most na fosie był zwiedziony; na sprawiony łoskot znów ukazała się nowa mumia i „hasło!“ zapytała. Grass powtórzył czarodziejski wyraz, po chwili ponad bramą okazały się bagnety, kaski, a w środku jakiś starszy szatan zapytał o legitymację. „Inspektor policji, Grass, z aresztowanym,“ — odezwał się mój czynny towarzysz podroży; żandarmi drzymali. Zabrzękły znów łańcuchy, opadł most i otworzyło się wnętrze piekła; swobodnie wjechaliśmy do środka przez aleję zaspanego żołdactwa; brama z hukiem zatrzaskała się za nami. Zostałem więc odłączony od światła. Towarzysz mój milczał, przejeżdżaliśmy ulicami obok piramid kul rozmaitej wielkości.

„Na co to?“ — zapytałem sercowego inspektora.

„Ach! po co pan pyta, to na nas biednych,“ — odpowiedział zbir z westchnieniem.

„Ja myślę, żebyś pan nie strawił takiej pigułki?“

„No, co to pan gada, ja mam żonę i dzieci.“

Dojechaliśmy do jakiegoś domku, dorożka stanęła, żandarmi przebudzili się, wysadzili Grassa, a za nim, mnie wzięwszy pod rękę, wprowadzili do nory.

*Stół, stancya i wszystko bezpłatnie.*

Weszliśmy do kwadratowej izby, po ziemi walało się rozespiane żołdactwo, straszne wyziewy z zepsutem powietrzem uderzyły na mnie, wzdrygnąłem się, jak mogą istoty, do ludzi podobne, żyć w takim zaduchu? Przeszliśmy do drugiej izby, na środku izby stał stół okrągły, łójówka, utkwiona w kartoflu, paliła się na stole, pod ścianą była ławka.

Grass był już u portu, rozsiadł się szeroko na ławie i posłał po jakiegoś nowego oprawcę. W pół godziny zjawiała się figura wystrzyżona, opięta w granatowy mundur; był to, jak później miałem przyjemność bliższego poznamienia się, pan Żuczkowski, sztabskapitan żandarmów, intendant więzienia, znany pod nazwiskiem Moroka.

Grass przedstawił mnie, jako nowego stypendystę; Morok zły, że mu przerwano libacye, rozłożył podaną mu książkę.

„Imię i nazwisko?” — zapytał.

„Julian Jasińczyk” i posypały się pytania: czem się trudni, ile ma lat, jakiej religii i t. d.; zrobił rysopis, a, wypisawszy cyrograf na moją duszę, wręczył go Grassowi. Starzy znajomi pożegnali się, Grass przystąpił do mnie, podając mi rękę; parsknąłem mu w oczy, rozgniewany wyszedł, koła zawarczały, unosząc potwora.

Morok zasiadł za stołem, „rozbiierać się,” zakomenderował i, nim raczył wyrzec to, usłudni żandarmi już mi porwali płaszcz i kapelus z głowy,

następnie przeszedł w ich ręce tużurek, kamizelka i t. d., zostałem tylko w bieliznie.

„No! czemu się nie rozbiiera?”

„Jakto? jeszcze?” — i bielizna poszła w ręce żandarmów.

„Zrewidować!” — zawarczał Morok.

W tej chwili uczulem żyłaste szpony oprawców, pochwycili mnie w powietrzu i zrewidowali po szczególe, dokładniej niż kucharka kuropatkę, kupując za Żelazną Bramą, w nosie, we włosach, w ustach i w uszach, zgoła wszędzie był żandarm. Takie muż losowi podpadły i moje rzeczy; zwrócono mi bieliznę, buty, tużurek i płaszcz, resztę rzeczy, sakiewka, zegarek, nawet krzyżyk, zostały w rękę Moroka. Po zapisaniu do książki poszliśmy dalej, otoczony nowem towarzystwem, pod przewodnictwem Moroka; z cuchnącej nory przybyliśmy do wysokiego parkanu, w którym ukryta była furgonka. Dwóch cerberów stało na warcie, trzymając na krzyż bagnety. Morok zaskrzeczał, bagnety podniosły się, otworzono furgonkę; tu znów dwóch cerberów i dwa bagnety na krzyż, znów nowa komenda. Tu tylko sam Morok posiada wyłączone prawo gospodarowania, od niego tylko stojący na warcie odbierają rozkazy i kufaki, chociaż żołnierz, stojący na warcie, jest osobą świętą, bo reprezentuje prawo, cara samego. Przeszliśmy dalej, furgonka zatrzasnęła się; ileż to już rygli i cerberów oddziela mnie od ludzi? Wędrowaliśmy dalej, znów drzwi i warta; wesliśmy do małego korytarza, słabo oświetlonego, tu już dziesięciu cerberów, opartych

na bagnietach, sapi; wyprostowali się jak struna, przeprowadzając bojaźliwymi oczami Moroka. Przybyliśmy do drzwi opatrzonych numerem 60, Morok skinął, żandarm ostrożnie, jak cień, przemykając się, zdjął klucz, wiszący na zakrzywionym ryglu u góry drzwi, nogą odsunął rygiel u dołu i równocześnie otworzył zamek kluczem. Popchnięty z tyłu, wpadłem do ciemnej jamy; potrójne rygle skrzypnęły — zostałem sam, i glucho i ciemno i duszno, to grób, i zdaje mi się, że słyszę dzwony i gdzieś tam w głębi piersi toną ostatnie noty: „Requiescat in pace.“

Trzebaż było nareszcie przekonać się, gdzie jestem. Powoli, posuwając się z rękami, wyciągniętymi naprzód, postąpiłem dalej; pod nogami czułem podłogę, doszedłem do ściany, następnie do dróg; macając ciągle w około, znalazłem się znów u drzwi, dalej piec, w kącie trąciłem o jakiś przedmiot, na ziemi leżący; schylałam się, to worek, wypchany słomą. Bodaj to być młodym, w pół godziny, obwinawszy się w płaszcz, zasnąłem.

Jakiś łoskot rozbudził mnie i nim zdolałem zebrać przytomność, wczorajszy nowy mój właściciel, Morok, stał przedemną.

„Czy zdrow? czy nie potrzebuje czego?“

Zadziwiło mnie podobne pytanie; było to urąganie się. Spostrzegł to Morok i zaraz dodał:

„Zapowiadam, żeby po ścianach nie gryzmołić, na okno nie drapać się i nie pukać“ — zakręcił się i wyszedł, rygle skrzypnęły; dalej słychać było otwieranie i zamykanie, była to więc ranna wizyta.

Teraz przystąpiłem do obejrzenia nowego mojego mieszkania. Izdebka około szesnastu łokci kwadratowych, ściany, kiedyś pomalowane zielono, w wielu miejscach były podrapane i poskrobane, drzwi, olejno pomalowane, koloru piernika, opatrzone były malenkiem okienkiem szklanem, okrągłym, za którym wisiała ruchoma blacha, jak to później spostrzegłem, z napisem numeru, 60; na przeciw drzwi okno wysoko, o półtrzecia łokcia od ziemi, dubeltowe, z grubą kratą żelazną w środku i pomalowane wewnątrz gipsem, u góry ramy zewnętrznej jedna szyba była, z blachy cynkowej, a w tej umieszczona na ćwierć łokcia długa, do góry wzniesiona rura, dla odświeżania powietrza; w wewnętrznej ramie był łucik prawie zawsze zamknięty, to też tylko myśl mogła się przedrzeć przez to okno do świata rzeczywistego; promienie słońca nawet nie mogły się przebić przez warstwę gipsu i słabo tylko oświecały pokój. W kącie na lewo piec kaflowy biały, a przy nim worek brudny, zgrzebny, wypchany jakimiś badyłami; był to jedyny mebel, jakim mnie gościnnie Morok raczył obdarzyć.

Drzwi się otworzyły, wszedł stary, brudem oblepiony żołnierz; butelkę wody postawił na oknie, a u drzwi stołek, z miską wody; przez ten czas głowa żandarma sterczała przycięta we drzwiach, śledząc każde poruszenie mumii, posługacza.

Gdy zapytałem go, co znaczy przyniesiona miska, martwe, przytępione oko podniósł na chwilę (mówię oko, gdyż po drugim została próżna jama),



jak gdyby zdziwiony głosem ludzkim, powieka opadła i zgarbiony wyszedł za drzwi.

Jakież to przykry widok podobnej istoty! Przecież i on był kiedyś młody, miał rodzinę, kochał ją i był kochany; porwany carskimi zbirami, został jak inni niewolnikiem—bydłciem. Przez lat czterdzieści służąc carowi, kładąc palki odbiły wszystko ciało i stargały siły, dawałoby się, że już byłoby mu odpocząć; lecz jakżeż ma odpoczywać, kiedy on zaledwie ma kilka lat służby, a służy już około czterdzieści lat! Zagadkę tę rozwiążę później, kiedy, postawiony bliżej tych istot, miałem sposobność przeniknąć wiele tajemnic machiawelskiego systemu, który się mianuje rządem rosyjskim. Posługacz, to także więzień, dzień i noc na służbie, a w nagrodę, odebraną ma mowę, bo ta stałaby się zbrodnią w tych murach; porusza się on, jak machina, słuchając skinienia każdego żandarma, każdego żołnierza, wszyscy się nim posługują, rozdając hojnie kułaki; najniższa istota w najniższej warstwie społeczeństwa ludzkiego, wyzuta ze wszystkiego, czem natura obdarzyła człowieka, bez myśli, bez woli, doszedł do nicości zera; kazano mu i stał się bydłciem, a takich bydłał to cała Rosya, z tą tylko różnicą, że jedni, ubrani we wstęgi, w złociste galony, inni w siermięgi i kurtki aresztanckie.

Umyłem się, lecz czemże się obetrzyć? Ręcznik, to zbytek, zresztą możnaby się powiesić na nim, pierwej nim komisyja wysieje najpozyteczniejsze soki dla siebie. Chustkę zabrał Morok, siennik za gruby i za brudny, a więc tę czynność należało

zostawić czasowi; lecz znów nowa bieda, nie ma grzebień; zgarnąłem więc długie włosy w tył i toaleta skończona.

Drzwi znów się otworzyły, posługacz, z brudnymi łapami, przyniósł kawał chleba, około funta; podług regulaminu więzień powinien otrzymać funt, że zaś komendant forticy i Morok mają dzieci i służbę, a ci potrzebują chleba, słuszne więc, żeby więźniowie pamiętali o tem i coś z swej udzielali porcyi. Posługacz zabrał miskę, która powędrowała dalek; miałem gotowe śniadanie, wprawdzie nie takie, jak u Zuzi lub Mombra, ale za to bezpłatne! Życie, z każdą chwilą, stawało się interesowniejsze, bo ciągle spotykały mnie niespodzianki. Ruch na korytarzach ustał, wszyscy dostali już śniadania i miska skończyła podróż. Pocziwa miska! jakim ona skarbem stała się z czasem.

Teraz oczekiwałem wezwania do jakiegoś tłumaczenia; lecz jak się tłumaczyć? z czego? co mają przeciwko mnie? była to zagadka, bez rozwiązania, a jednak coś trzeba było postanowić, by nie stanąć nieprzygotowanym. Postanowiłem więc czekać, bo przecież raz muszą mnie zapytać, a wtedy zobaczymy; na tem rozmyślaniu upłynęło kilka godzin, chodziłem po swojej celi, jak dziki zwierz, zamknięty w klatce. Duszo mi było, myśl ciągle zwracała się do Warszawy, od której tak blisko byłem, a zarazem tak daleko; czy aresztowali kogo z mych kolegów i kogo mianowicie? Rozmyślania te przerywane były jakimś pukaniem, które i z boków i z góry słyszeć się dawały; z początku my-



ślałem, że to są nowe figle ciemieżców, by znękanego i w obłąd wprowadzonego delinkwenta zarzucić pytaniami. Lecz w pukaniu okazał się jakiś porządek; miałooby to być porozumiewanie się samotników? Zapukałem i ja; w tej chwili sąsiad mój odpukał mi, lecz wkrótce rozczarowany opuścił profana, nie znającego tego języka. Kiedyż, jeżeli nie teraz potrzebowałem porozumienia się ze starymi lokatorami Moroka? od kogóż, jeżeli nie od nich mógłbym powziąć informacją do tego nowego życia?

I znów ruch głuchy na korytarzu; otwiera się i moja kaźnia i ten sam posługacz wniósł miskę cynową, z której rozchodził się zapach, jaki dolałtywał mnie, przechodząc około koszar. Dwie duże szpony posługacza kąpały się w misce; postawił ją na ziemi przy zaimprovizowanym łóżku, a zza brudnej cholewy od buta wyciągnął łyżkę drewnianą, położył przy misce i wyszedł. Był to więc obiad. Z obrzydzeniem i ciekawością, położywszy się na sienniku, zajrzałem do miski; para objęła mnie i, jak oparzony, odskoczyłem, apetytu nie było; posługacz zabrał obiad nietknięty. Ku wieczorowi żołądek zaczął się przypominać; zjadłem kawałek chleba i napilem się wody. O! jakże gorzki był ten chleb, ręką wroga podany; nie marzyłem nawet, jak długie lata też żelazna ręka karmić mnie nim będzie. Zaczęło się zmierzchać; na korytarzu jakiś głuchy ruch, ściany na wszystkie strony telegrafowały; wiedziałem, że to rozmowa, lecz jakim cudem wnikać w tę tajemnicę? jak przyzdiać

w ciało i zrozumieć proste stuknięcie? czy dojdę kiedy do tej doskonałości? Morok zabronił mi pukać, a więc podejrzewał, że albo umiem, albo nauczyć się mogę. Nie traciłem nadziei, lecz niemniej cierpiałem od niepewności; pukanie tymczasem szło swoją drogą, a zmrok panował zupełnie.

Drzwi się otworzyły; będzie coś nowego; Niemy posługacz wszedł, za nim głowa żandarma; z poły szarego płaszcza wysypał na środku podłogi kilka garści piasku, w nim utkwiał bryłkę gliny, w której sterczała zapalona lojówka. Żandarm krzyknął: „Nie trogat!“ (nie dotykać się) i drzwi się zamknęły. Lojówka jest straszną plagą dla więźnia, ale zarazem jedynym środkiem, jedynym hamulcem na żandarmów. Co kilka minut otwierają drzwi z łaskotem, wchodzi posługacz, nożycami odcina spalony knot, rzuca go na piasek i odchodzi. Nieznosny smród od knota i smród, z korytarza idący, gdzie stoją napchani żołnierze, trudny jest do wytrzymania, w izbie i tak już pozabawionej świeżego powietrza. Świecą można dokuzyć żandarmowi i wystawić go na kułak Moroka.

Około godziny siódmej wieczorem zjawił się znowu posługacz, niosąc na płytkim, cynowym talerzu parę łyżek kartofli; była to kolacja. Na brzegu talerza był wyrźnięty numer 60, jak również na południowej misie; tym sposobem naczynia podawane bywają do właściwych numerów zawsze też same. Jeżeli kiedy żandarm, śpiący lub pijany, omyli się i wskaże posługaczowi niewłaściwie, na misce pojawia się zaraz jakiś napis; w kuchni służba spo-

strzeża to i miskę odsyła do Moroka; wtedy biada żandarmowi, który przeczuwa, że mu ubędzie kilka zębów, bo Morok twarde ma obcasy i ciężkie kulaki; i autorowi napisu nie przejdzie na sucho, bo Morok jest jedynym w wynajdywaniu kar dla więźni, niewyczerpany w wynalazkach: z każdym dniem, przy każdej okoliczności odkrywają się w nim nowe zalety.

Spróbowałem cokolwiek kartofli i znów zamysłony, puściłem się wokoło ścian mojej kaźni; wirem powietrza porywany płomień łojówki kręcił się wokoło, łój topniał. Spostrzegł to żandarm, otworzył z łoskotem drzwi „leżał!” (leżeć) zawarczał z wściekłością, poczem podniósł blaszane kółko; zakrywając okienko we drzwiach, i dwie rozpalone żrenice i szczeniaste wąsy oraz nos czerwony sterczały w szybie, jakgdyby mnie chciały usnąć snem magnetycznym. Otóż ta łojówka, pozabawiając mnie spokojności, zanieczyszczając powietrze, odbiera mi nareszcie wolność poruszania się. Leżeć na brudnym worku i nie spać i nie móc poruszać się, nie jestże to pomysł godny Moroka i jego współników!

Tak upłynął pierwszy dzień nowego mojego życia więziennego. Wrażenia następujące w tym dniu jedne po drugich, wprawiły mnie w stan nienormalny; sen był gorączkowy, zrywałem się za każdym łoskotem otwierających się drzwi; zdawało mi się, że co chwila wpadną tu szatani na huczną biesiadę; to znów marzyłem, że jestem w Warszawie, otoczony gromem znajomych, przyjaciół, i te naj-

piękniejsze marzenia przerywał służalec, objaśniający świecę.

Na drugi dzień rano rozbudziła mnie znów wizyta Moroka. Przystąpił wprost do okna, obejrzał okitowanie, czy nienaruszone, a potem, spostrzegając mnie niby, odezwał się:

„Czy zdrów?”

„Zdrów.”

„Czy nie ma co nowego?”

„Owszem, jestem tu drugi dzień, a dotąd o nic mnie nie pytano.”

„A... a... a... jeszcze za prędko; teraz trzeba sobie przypomnieć wszystkie grzechy,” i, gryząc koniec czerwonego ołówka, którym przypomniawszy ową żelazną sztabkę do czerwona rozpaloną, używaną do gromienia dzikich zwierząt, zakręcił się i wyszedł.

I znów upłynął dzień cały z temiż rozmaitościami, jak poprzedni. Stan mój nie polepszał się wcale, apetyt znikł, wstręt do kuchni Moroka był niezwykły. Na łoskot otwierających się drzwi zamykałem oczy, żeby uniknąć widoku tyranów. Trzeciego dnia po ruchu na korytarzu, częstem otwieraniu drzwi, domyśliłem się, że Morok się zbliża. Tymczasem wszedł oficer w okularach z grzecznym ukłonem, nie analizując okna, przystąpił wprost do mnie.

„Czy pan zdrowy?”

„Zdrów.”

„Czy pan nie potrzebuje co?”

„I owszem; nie mam grzebień i trzy dni nie czesałem się, nie mam ręcznika i po omyciu się nie

mam się czem obetrzeć, nie mam pościeli i sypiam, jak pies na worku.“

„No, to ja panu nie pomogę, trzeba mówić w komisji.“

„A gdzież ta komisja? trzy dni tu więzicie mnie i o nic nie pytacie.“

„O! bo im nie pilno, bądź pan cierpliwy,“—skłonił się i wyszedł.

Głowa żandarma sterczała ciągle we drzwiach, tak, jak za wejściem posługacza łowiła każdy wyraz wymówiony, żeby zdać raport Morokowi; nie miał więc zaufania u tego wszechwładzcy więziennego, nie miał zaufania, bo nie wytępił w sobie jeszcze uczuć człowieka. Z mowy jego moskiewsko-niemieckiej wniosłem, że jest Kurlandczykiem; był więc na aplikacji.

Sześć długich dni, jak wieczność upłynęło w tem piekle; wizyty Moroka zmieniały się wizytami Fogta, owego Kurlandczyka, który powinien był wstępować w ślady Moroka, lecz nie zawsze mógł w nie trafić.

Znudzony prosiłem Moroka o przedstawienie mnie do komisji.

Nareszcie ósmego dnia, po obiedzie, żandarm, biegnący na palcach zawołał szeptem: „Numer 60“ i drzwi się otworzyły. Zapomniałem powiedzieć, że przy każdym otwieraniu, oprócz dwóch żandarmów, stało za drzwiami sześciu żołnierzy z karabinami, trzymając bagnetki skierowane do wnętrza kaźni. Dyżurny żandarm skinął palcem, wyszedłem brudny, z rozczochraną głową, na pół ubrany. Na

przód szedł żandarm, za nim żołnierz z karabinem, następnie ja, za mną znowu żołnierz; tak przechodziliśmy rozmaite korytarze, i w górę i na dół, i w prawo i w lewo, a wszędzie żoldactwo i żandarmi i tabliczki z numerami na drzwiach. Po wielu zakrętach wprowadzili mnie do numeru 32; żandarm stanął we drzwiach i pilnował każdego mojego poruszenia.

*Posłuchanie w komisji.*

W numerze 32 wisały płaszcze, futra i kaski oficerskie; z sąsiedniego numeru dochodziły mnie jakieś głosy, lecz nie mogłem ich zrozumieć; rozmawiano głośno, hałaśliwie. Była to straszna, stanowcza chwila; jaki mi uczynią zarzut? co im odpowiedzieć? Oczami pożerałem ściany, by znaleźć wskazówki; lecz ściany były nieme, żadnego napisu. Nareszcie głosy umilkły, za chwilę przeprowadzono kogoś i mnie pociągnięto dalej. Wszedłem do numeru 33. Była to ogromna sala, stół duży, przykryty czerwonym sukniem stał w jednym końcu, a wokoło siedzieli członkowie szanownej tajnej komisji śledczej, na stole krucyfiks, papiery i pióra. Na pierwszym miejscu, w wspaniałym fotelu, błyszczał od złota udekorowany generał Jolszyn, z lewej strony pułkownik Szwejkowski, z prawej major Leichte, dalej jakieś figury wojskowo-cywilne.

Jolszyn, postawiwszy mnie przed sobą, wyjął cygaro z pod wąsów i, pragnąc nadać ołowianym swym oczom wzrok badawczy, długo wpatrywał



się we mnie. Milczenie było zupełne, pan prezes raczył pracować, oczy wszystkich na niego były zwrócone, jak na wyrocznię. Nareszcie podniósł rękę w kierunku mojego nosa, parsknął, jak kot, broniący się psu i z szyderskim uśmiechem zawołał: „Patrzcie, jaki łeb!“ Oczy szanownych członków przeniosły się na mnie. A musiałem ładnie wyglądać, z twarzą zasmoloną od worka, z długimi rozrzuconymi włosami. Szyderski uśmiech wielkiego inkwizytora, jak echo wiernie powtórzyli członkowie. Z kolei i ja spojrziałem na nich. Na wszystkich tych twarzach, zniszczonych rozpustą i łotrostwem, wypiętnowana była nikczemność i obłuda.

„Czegóż się gapisz, durniu!—krzyknął Jolszyn—tu! patrz mi w oczy.“

Zgrabnym ukłonem podziękowałem panu generałowi i patrzyłem mu w oczy.

„O! jakie to ślepie! to wielki łajdak być musi! No! czego chciałeś od komisji?“

„Jestem od tygodnia aresztowany i nie wiem za co; sądę, że to tylko pomyłka, bo...“

„Milcz łajdaku! a tobie co do tego?“

„Zdaje się, że mnie to powinno obchodzić.“

„Głupiś! czy ci tu źle?“

„Sypiam, jak pies na worku, jeść nie mogę po myi, które mi dają, nie mam garderoby, nawet grzebieńia.“

„Głupiś! ot ja ci powiem,“—i pan generał odsunął fotel, przeszedł się parę razy po sali, zapewne szukał natchnienia, przystąpił do mnie, puścił kłęb

dymu w oczy, a ująwszy mnie za ramię, zaczął tak:

„To jest komisya, komisya, to prawo, a tu widzisz krzyż, to godło komisji, to sprawiedliwość! widzisz, tu się mylić nie można. Ty jesteś młody, mnie żal ciebie, zgrzeszyłeś; no i któż nie grzeszy, ale Bóg przebacza pokutującym grzesznikom,“ (ale Moskal Polakowi nigdy, — pomyślałem).

Jolszyn zaciągnął się cygarem, po tej ewangelicznej przemowie, szukał natchnienia i tak dalej mówił:

„I rząd prawy, to jest Najjaśniejszy cesarz, najlepszy wasz ojciec, co was lubi i pragnie waszego dobra, chętnie przebacza tym, którzy okażą skruchę, żal i poprawę; od ciebie więc zależy cały twój los, twoja karyera; ot, trzymasz ją w ręku, jak ja to cygareto, możesz go zgnieść i zdeptać, zgubić się lub wykierować na porządnego człowieka. Nie myśl, żeby to była prawda, co wy tam pleciecie o komisji; i ja mam dzieci i ci panowie także, (tak, u Dzieciątka Jezus,—pomyślałem). Otóż każdy z nas pragnie dopomóc zablakanej owieczce, oto masz papier, pióro i atrament, opisz wszystko, nie oszczędzaj tych łotrów, co cię wprowadzili na złą drogę a potem wepchnęli w nieszczęście, bo do cytadeli prowadzi szeroki gościniec, ale wyjście dyabelnie ciasne. Ot, powiadam tobie, napisz wszystko, a pamiętaj, że sam trzymasz los swój w własnych rękach.“

Za każdym słowem wielkiego inkwizytora, topniałem jak śnieg wiosenny; spostrzegł to orator, pu-



ścił moje ramię a, poprawiając mi fryzury, dodał raz jeszcze:

„Mnie ciebie żal, ja ciebie chcę ratować, masz i pisz.“

„Ale o czymże mam pisać, to jest właściwie, co mam pisać, w jakim przedmiocie?“

„Ot, uciął barana,— odezwał się Leichte,— niech pan generał nie męczy się, on nie wart tego, to łajdak.“

„Nie, ja chcę jego ratować, mnie żal go; na, masz i ruszaj.“

Zabrawszy materiały piśmienne, by się oskarżyć przed wrogiem, ruszyłem i znów tą samą drogą wróciłem do swej kaźni, którą już, jako starą znajomą weselej powitałem i zdawało mi się, że ściany tu milej patrzą, a w uszach brzmiały jeszcze rady generała i ojcowska miłość cara, oraz szczerą pomoc szanownej komisji tajnej. I co tu robić teraz? co tu pisać? jak spamiętać to, co się tu napisze teraz, by później nie pokrzyżować się? Co oni mają przeciwko mnie i o co mnie obwiniają? Rzuciłem papier na ziemię i zacząłem chodzić, jak jasny generał, szukając natchnienia.

Jolszyn widocznie zakochał się we mnie i musiał mówić prawdę, że mnie żałuje, bo w godzinę po moim powrocie z komisji, drzwi się szeroko otworzyły i, o dziwy! dwóch zgarbionych posługaczy dźwigało łoże zielone, na niem był siennik, płachta zastępująca prześcieradło, poduszka, a to wszystko przykryte derą białą wełnianą. Łoże postawili w rogu, ale tak, aby można było obejść na

około; wnieśli także stolik zielono malowany, brudny worek wyjechał na zgarbionym posługaczu i moje mieszkanie wcale nie źle wyglądało.

Z rozkoszą rzuciłem się na łóżko, ale i tu nowa zdrada. Poduszka była wysłana temiż samemi baidylami, co i ów worek brudny; pragnąłem przekonać się, czem Morok rzeczywiście zastępuje puch, i tu okazał się nowy dowód jego genialnych pomysłów. Zielska rosnące na wałach, oset, konopie dzikie, tonderę Morok każe kosić żołnierzom, suszy to i częstuje więźni, jakby puchem edredowym, a pieniądze za siano i słomę idą do kieszeni pana intendenta. Manipulacja taka nazywa się rozumna ekonomia i często będziemy się z nią spotykać. Morok, to nieoceniony pociągowiec, cierpliwie ciągnie nałożone mu jarzmo, wyładowywa sobie boki; ale i woźnicy z tym dobrze, a woźnica jest szanowny komendant cytaдели, towarzyszem Jolszyn, prezes komisji.

Z przybyciem mebli zmniejszyła się przestrzeń mojej kaźni; teraz, chodząc wokoło, zrobiłem tylko ośm kroków, kiedy dawniej było ich piętnaście; wyszło zatem, że przyjemność okupiłem własnym kosztem, może tylko zyskałem na powadze, bo służba innemu już patrzyła na mnie oczami. Wyglądałem jeszcze toalety, ale napróżno. Później dowiedziałem się, że tu wszystko można nabyć, i fajkę i cygara, książki, towarzysza, prawo pisania listów, nawet widzenia się z familią, ale wszystko to nabywa się kosztem krwi bratniej. Za każdą duszę sprzedaną zyskuje się jedną z powyższych

lask, moje więc domaganie się do komisji wzięto za początek skruchy i zaraz zapłacono łóżkiem i stolikiem; czuć tu było Jolszyna.

Zaczął się nowy tryb życia; miałem meble, papier, mogłem myśleć i myśli przelewać na papier. Chodziłem po swojej klatce, bo, nie umiejąc pukać, we własnym natchnieniu musiałem szukać sobie rady.

Zasiadłem więc i za jednym zamachem, pisząc fracta pagina, zapisałem jeden arkusz, historią mojego urodzenia i niemowlęctwa. Odetchnąłem, mam już arkusz zapisany, a było ich siedemnaście, najprzód dwanaście było zsztych, ocyfrowanych, i na ostatnim napisano „wyraźnie czterdzieści ośm, podpisano Leichte;“ później, zapewne pokazało się, że dla takiego zbrodniarza, jak ja, mało dwanaście arkuszy, dosztyto więc pięć i na ostatniej stronie napisano „wyraźnie sześćdziesiąt ośm, podpisano Leichte.“ Drugi arkusz obejmował okres życia od dwóch do siedm i pół lat; trzeci wstąpienie w r. 1832 do szkoły wojewódzkiej w N. Pisałem czystą prawdę i jaknajsumienniej; nie opuściłem nawet pięciu różg, otrzymanych od księdza rektora za otrząsanie mu gruszek.

W roku 1839 zamknięto szkoły w N. i ja, jako skończony gimnazysta, bo w ciągu tego czasu szkołę wojewódzką przewzano gimnazjum, zmienwszy i mundury granatowe na ciemnozielone, do których później dodano czerwone kołnierze i guziki białe, powróciłem na wieś do rodziców, by odpocząć po siedmioletniej pracy.

Dopłynąłem do końca czwartego arkusza; pobyt na wsi zajął pół arkusza, przyjazd do Warszawy arkusz, bo jechałem własnymi końmi przez trzy dni, było więc dużo wrażeń i przygód; był tam i bigos i bułeczki maślane, któremi mateczka zaopatrzyła syna na drogę, a postanowiłem opisać sumiennie całe moje życie. W Warszawie od r. 1840 do chwili aresztowania siedziałem ciągle w domu nad książką, i kiedy już ukończyłem nauki i już wyciągałem rękę po patent, za tę rękę właśnie chwycił mnie Grass i tu przywiózł. Na tem skończyłem ósmy arkusz, reszta zaś papieru została czysta.

W zakończeniu protokołu oświadczyłem przekonanie, że tylko pomyłce przypisać mogę moje aresztowanie, gdyż, jak się szanowna komisya przekonywa, jestem niewinny, daremnie tylko zajmuję tu miejsce i wystawiam na koszt rządu.

Trzy dni zabrała mi ta praca, trzeba było być ostrożnym z każdym wyrazem, a poprawki, przekreślenia, zabroniono najsurowiej. Nareszcie czwartego dnia oświadczam Morokowi, że protokół gotowy. Zapisał to do nieodstępnej książki, spojrział na protokół, zobaczył dużo białego papieru i zmarszczył się.

„Czegóż tak się śpieszy? trzeba sobie wszystko dobrze przypomnieć, to nie ma nic pilnego.“

„Ale mnie pilno pożegnać pana.“

Spojrzął na mnie wzrokiem, jakgdyby chciał powiedzieć: „szalony“ i wyszedł.

Następnego dnia, około godziny trzeciej po południu, otworzyły się drzwi i wezwano mnie do

komisyi. Palcami poprawiałem fryzurę, zabieram nieszczęśliwy protokół, a, przeżegnawszy się, z myślą, co będzie, to będzie, ruszam za eskortą, i znów schowano mnie pod numer 32; też same futra i płaszcze, tylko liczniej zebrane, na podłodze, czerwono malowanej, leżały kalosze, na ścianach żadnych złowrogich znaków. Za chwilę wezwano mnie, serce jakoś zabiło żywiej, wszedłem do numeru 33. Oho! towarzystwo liczne, pomyślałem; przystąpiłem do stołu i przed panem prezesem złożyłem protokół.

Komisya była w całym komplecie, był i jakiś generał, nazwiska nie pamiętam, przysłany z ramienia Paszkiewicza, aby przy indagacyi z delikwentami obchodzono się błahorodnie (szlachetnie); w końcu siedział Blumenfeld, wchodzący już w znaczenie, ale jeszcze nie był właścicielem żółtego pałacu na Królewskiej ulicy, dopiero gromadził grosze; przed nim był papier a w ręku pióro do pisania zeznania, które miało być porównane z protokółem.

Jolszyn kazał mi czytać protokół. Zacząłem od urodzenia. „Opuść to, to do rzeczy nie należy.“ Przeszedłem do ścigania motyli. „Głupiś!“ ozwał się Jolszyn, już nieco zniecierpliwiony. Poszedłem do pierwszej klasy. „Durak!“ wrzasnął już zniecierpliwiony, „opuść to.“ Czytanie tym sposobem szło prędko — przybyłem do Warszawy.

„Ot teraz czytaj.“

„W Warszawie zajęty nauką, nie bywałem nigdzie, w teatrze nawet rzadko, a na szpicbalach

ani w Zielonym ogródku nie byłem ani razu, jestem więc niewinnym i spodziewam się, że szanowna komisya jest podobnie przekonana.“

Śmiech ogólny pomiędzy szanownymi członkami.

„A to łajdak! — rzekł wielki inkwizytor, — no ale czytaj dalej.“

„Już koniec, jaśnie wielmożny jenerale,“ — rzekłem głosem jaknajpokorniejszym.

„Jak to? koniec?“ — wyrwijając mi z ręki protokół, który mu podawałem, zawrzęszczał pan Jasny jenerał. Wściekłość jego nie miała granic, w konwulsyjnym uścisku zmiął nieszczęśliwy protokół i rzucił mi w twarz. — „Ach, ty psie! ach ty wyrodku!“ — rzucając się z pięściami do moich oczu, wołał pan jenerał, — „ach, ty podła duszo! ja ciebie upiekę tu! ty zgnijesz tu! ja ciebie różgami zaćwiczę!“ — i wysypał cały dykcyonarz moskiewskich przekleństw i biegał po sali, a z ust brudna piana bryzgała na złote ordery, a z pianą jeszcze brudniejsze wyrazy, z których wyraźniejsze: szubienica, tortury, baty, żołdacy, utkwily mi w pamięci.

Pan jenerał, dodany do przestrzegania błahorodztwa, zerwał się z kolei a, przybiegłszy z kulakami do mnie, dowiódł, że umie kłać nie gorzej od Jolszyna. Unikając zapału wymowy pana jenerała, cofałem się ciągle w tył, dotarli mnie nareszcie do muru. O! teraz to będzie bieda, pomyślałem sobie. Pan jenerał od błahorodztwa zużony przekleństwami i wywijaniem kulaków, zakończył znów batami, torturami i szubienicą.



Gdyby byli mniej obiecywali, możebym był i zmiękkł, ale tyle rodzaj kar na raz jeden, za śmieszne było. Pan Jolszyn biegł jeszcze, za nim krążył generał od błahorodztwa; szanowni członkowie komisji siedzieli nieruchomi, jak mumie. Zerwał się Leichte. Czy i ty,—pomyślałem,—dopókiż tego? lepszego koncertu obelg i przekleństw i groźb już być nie może.

Leichte schwycił mnie za ramię i poprowadził do okna; okno tu nie było zamalowane, jak w mojej kaźni.

„Patrz tam! widzisz, co to jest? poznajesz?“

„Poznaję, to Warszawa.“

„Głupis! ot tu pod oknem, baranie, tu, gdzie ta armata.“

Pod oknem stało coś naksztalt szubienicy, rusztowanie grube z ogromnym hakiem po środku. Była to maszyna do podnoszenia armat i kładzenia na lawety; przed mojem oknem była też sama maszyna, a chociaż Morok zabronił surowo drapanie się na okno, byłem tam już nieraz i widziałem jak windowano armaty. Odpowiedziałem jednak panu majorowi, że nie znam tego.

„To szubienica! — krzyknął mi za uchem Jolszyn,—szubienica, rozbójniku! Szubienica! —zgrzytając zębami, krzyknął w drugie ucho pan generał od błahorodztwa,—a wrony kości twoje będą z niej roznosić.“

Te dwa wykrzykniki z prawej i z lewej strony „szubienica!“ jak grzmot niespodzianie wpadły mi do uszu i mimowolnie wymówiłem: „A słowo stało się ciałem.“

„A... a... a... teraz do Boga! Nie,— psie — nie— i późno—paszoł won,“—i wielki inkwizytor chciał mnie kopnąć, lecz już byłem daleko; porwali mnie na korytarzu i, jak szatani duszę, zanieśli do kaźni. Szubienica! szubienica! brzęczało mi w uszach, a gdzież ta miłość Jolszynowska i jego politowania? zniknęło wszystko, czy też nie znikło łóżko? Przybyliśmy nareszcie, drzwi się zatrzasły, stanąłem na środku zupełnie odurzony, pragnąc przyjść do jakiejś myśli, ale w głowie chaos okropny. Oj! źle panie Julianie, pomyślałem, sprawa twoja zły obrót bierze a niema sposobu, więc niech czas rądzi. Długo chodziłem w kółko po mojej stancyjce, wrażenia tej pierwszej indagacyi ścierały się powoli, niedowierzająco tylko spoglądałem na drzwi, rychło-li przyjdą po meble.

#### *Znajomości z sąsiadami.*

Na drugi dzień byłem już spokojniejszy; przeczućcie mówiło mi, że jestem stałym lokatorem tu-tejszym, zacząłem więc przemyślać o urządzeniu się na czas dłuższy, niż z początku wyobrażałem sobie. Pierwszym warunkiem było wniknąć w tajemnicę rozmowy murów; doszedłszy do tego, reszta sama się już zrobi, a dnie były niemilosierne długie, niepewność i samotność zabójcza. O! jakże łatwo pod takim naciskiem przyjść do zwątpienia o sobie! Zacząłem śledzić ściany, czy nie nauczą mnie czego, lecz napróżno; po długich szperaniach, na miejscach już zeszkrobanych, odkryłem nowe napisy; były one charakterystyką piszącego, bo każ-



dy zostawiał tu może ostatnie swoje myśli, swą wiarę, świętą, jak testament, a myśli te mogły być wskazówką dla następcy. Pamiętam z nich niektóre:

Miły bracie! próżna praca,  
Kto tu zaszedł, nie powraca.

O! matko moja, matko rodzona!  
Po co mnie było pieścić dziecięciem?  
Po co mnie było do swego łona,  
Takim gorącym tulić objęciem?  
Po co mnie było pocałunkami  
Dziecinne serce moje ogrzewać?  
I uczyć dumać swemi dumkami,  
I płakać przy mnie, płakać i śpiewać,  
Lepiejby było, gdybym z kołyski  
Tylko pot krwawy z czoła obcierał...

Cierpieć! milczeć! i wojować!

Wierz wszystkiemu, tylko nie komisji.

Potępiönemu za wieniec grobowy  
Zostanie suche drzewo szubienicy,  
Za całą pamięć cichy płacz kobiety,  
I długie nocne rodaków rozmowy.

Kain zabił brata, chcesz być Kainem, zdradz swego brata.

Pukanie nad wieczorem odbywało się silniej, lecz napróżno sililem się wniknąć w tę tajemnicę; rozgniewany moją niepojętnością sąsiad z lewej strony, przystąpił do mnie z nauką na seryo z niemordowaną cierpliwością, powoli, z przestankami wypukał trzy razy kolej, zaczynając od 1 do 25.

Za trzecim razem iskra jakaś elektryczna przebiegła po wszystkich żyłach i zdawało mi się, że oczy moje patrzą już w przyszłość, czytają dotąd niezbadane tajemnice. Cóż to za radość! stałem na drodze odzyskania mowy, nowych przyjaciół, towarzyszy niedoli. Grzmot pięści dał do zrozumienia memu nauczycielowi, że praca jego nie była daremną. Po uspokojeniu zapukałem do niego: 10, 20, 15 — 20, 24. Po zdecydowaniu znaczyło „Kto ty.“ Odpowiedział mi więc: 13, 18, 13, 3, 25, 10, 15, 21, 10, 9. „Mroczkowski!“

Jakiej on doznał radości, poznałem to później, kiedy z kolei, będąc już starym weteranem cytadeli, po wielu miesiącach uczyłem nowych więźni.

Sposób ten rozmawiania jest długi, utrudzający, łatwo się omylić o jednostkę i wyraz wychodzi niezrozumiały; nadto, chcąc wypukać np. Z, potrzeba uderzyć 25 razy, a to potrzebuje i dużo pracy i dużo czasu i nadwyzwyczajnej uwagi słuchającego. Słuchający jak i pukający winien rozdzielić uwagę i dla rozmowy i dla żandarma. Dla tego uproszczono rozmowę, kazał mi napisać alfabet w pięciu wierszach po pięć liter, a wyjmując Q i X, w ostatnim wierszu wypada trzy litery, z czego powstaje następująca tabliczka:

	1.	2.	3.	4.	6.
1.	A	B	C	D	E
2.	F	G	H	I	K
3.	L	M	N	O	
4.	P	R	S	T	U
5.	W	Y	Z	.	

Naprzód poka się, która litera, a po małym przestanku, który wiersz. Jeżeli chcę wypukać np. Warszawa, pukam tam:

.....  
.....

Z początku rozmowa idzie wolno, z czasem jednak ucho tak przywyka do tego dźwięku, że nawet bez liczenia uderzeń poznaje literę, tę znaczy się w pamięci, co początkowo skuteczniało się na ścianie. Przy dobrej wprawie, pomiędzy umiejacymi dobrze pukać nigdy nie kończy się wyrazów, gdyż domysławiac się końcówki, słuchający daje znak podwójnem szybkiem uderzeniem w ścianę, a pukający zaczyna nowy wyraz. Tym sposobem rozmowa idzie szybko tak, jakby rozmowa na piśmie dwóch osób, siedzących przy jednym stole.

Życie moje teraz przybrało obszerniejsze granice; jakkolwiek słabo pukałem, mogłem się przecież rozmówić, a przy ciągłej wprawie postępowałem szybko. Bieda tylko była z żandarmami; ci, z początku uważając mnie za profana, mało zwracali uwagi; lecz, usłyszawszy niemilą im zawsze muzykę, pukanie, tak surowo zakazane przez Moroka, często zaglądali do okienka we drzwiach.

Blacha, pokrywająca okienko we drzwiach była pomalowana na czarno, lecz tylko w takich rozmiarach, jak była szybka, reszta jej obwodu około pół cala była zupełnie biała, połyskująca; za najmniejszym więc poruszeniem blachy, biała obwódka pokazywała się pierwej nim oko żandarma zaj-

rzało do kaźni; wtedy opadały ręce, uderzeniem pięści dawało się sygnał pukającemu i zaczynał się spacer wrowy z założonemi rękami na piersi; żandarm, popatrzywszy, szedł dalej szukać winowajcy.

Prawie w każdym korytarzyku było po trzy numera z każdej strony, a ponieważ gmach był piętrowy, nad każdym więc numerem dolnym znajdował się numer górny; tym sposobem sześć kaźni mogły być z sobą w ciągłej rozmowie i udzielać sobie wzajemnie rad i wiadomości.

Po nauczaniu się języka murów od Mroczkowskiego, wybrałem się na wizyty do moich sąsiadów. Z prawej strony był jakiś więzień nowoprzybyły, jeszcze nie umiał rozmawiać, a mnie pilno było do gawędy; z lewej strony nie było nikogo, pukałem więc na górę, z prawej strony znalazłem pana Ignacego, poznamiliśmy się wkrótce i później długie godziny na przyjemnej spędzaliśmy rozmowie. Nademną nie było nikogo; z lewej strony siedział Niżelski; wiele prób wzajemnego niedowierzania odbyliśmy nad sobą, zanim, jak bracia rzuciliśmy się w objęcia, rozumie się przez ścianę.

Lecz niestety! jak wszędzie na drodze naszego życia, tak i tu znalazło się to nieszczęśliwe ale, mniejsza, że schwyta żandarm na uczynku, a Morok pozbawi za to łóżka lub obiadu na tydzień; lecz, jak w Warszawie na ulicy, w domu, nawet w kościele musiałeś być ostrożnym, tak i tu zabierz z sobą tę ostrożność; nieraz, pod postacią więźnia, kolegi, kryje się jadowita żmija, która, korzystając z chwilowego swego pozor, wprowadzi cię w błąd,

zapuści żądło aż do serca i wyciągnie z ciebie słówkami to, czego knuty komisysi wydobyć nie mogły.

Tylko długiem cierpieniem, rozmyślaniem i wprawą szczególną z czasem nabiera się jakiegoś, niczem nieokreślonego instynktu a nigdy nieomylnego w sądeniu o swym koledze sąsiedzie. Trudne jest to zadanie, długo potrzeba zamykać się w sobie samym i macać i badać sąsiada, porównując jego odpowiedzi: bo jeżeli w salonie rozmawiam z osobą, to wzrokiem staram się zajrzeć mu do głębi duszy i już w pierwszej chwili ostrzegam mnie o niebezpieczeństwie, lub budzi sympatyę; tu zaś wszystko ogranicza się na słuchu, tu wszystkim jest słuch, i każdy fałszywy wyraz, podobnie jak nota, fałszywie wzięta w muzyce, tak drażni ucho, instynktem tak nieomylnie odgadnie podstęp lub niebezpieczeństwo, że nie tylko w tej samej chwili nie dasz się uwieść, lecz owszem na swoją korzyść słuźalca Moskwy wyprowadzisz w pole. Może to będzie się zdawać komuś fikcyjnym, lecz proszę powiedzieć, zkąd nasz chłop polski odgadnie w lecie, jaka będzie jesień, w jesieni powie, jaka będzie wiosna? Zkąd wie, że jutro, pojutrze będzie wiatr, pogoda lub słońce? przecież on czytać nie umie; ale od maleńka wychowany na łonie natury, zrósł się z nią, poznał ją bliżej i lepiej, jak wielu z książki. Tak i tu niestety! ile to łez, cierpień i dni samotnych i nocy bezsennych kosztuje nauka! Wszak mówimy, że oczy są zwierciadłem duszy; poznajże tę duszę tutaj po głuchym stuku

palca lub łyżki w ścianę, a przecież poznać ją można.

Długie godziny i dnie upływały powoli, jednostajnie; poznawałem najmniejszy ruch na korytarzu, każdy szelest był zrozumiałym, zbliżanie się Moroka lub żandarma, nawet, jak cień przesuwanego się posługacza, odgadem zawczasu. Z sąsiadami poznałem się dobrze; zamiast nazwisk ułożone były sygnały, po których wzywaliśmy się do rozmowy; żyłem nowem życiem i byłem już zagospodarowany, miałem ćwiczek do pisania na ścianach i miskach.

Najczęściej rozmawiałem z Mroczkowskim; silny to był charakter, a kto raz dotknął się jego, kto raz zajrzał w to serce, musiał się podnieść i umieć cierpieć, jak on. Pozostawił on żonę i dziecko, by wypełnić obowiązki Polaka. Mroczkowski od trzech lat nie widział świata ni ludzi; włóczony z więzienia do więzienia, dostał się nareszcie do warszawskiej cytadeli. W końcu 1845 roku ujęty w Prusiech, wycierał tamtejsze więzienia, a Niemcy, nie mogąc nic z niego wydobyć, nagromadziwszy ogromne foliaty, zepchnęli go z rąk i oddali Austrii, jako Galicyanina. Tu znów nowe badania, foliaty rosły z każdym dniem, a sprawa coraz niejaśniejsza i z każdym badaniem zamiast zbliżać się do końca, dalej byli od niego. Znużeni w końcu słuźalecy arcychrześcijańskiego cesarza, darmo oddali go Moskwie. Ten potwór nigdy nie syty z radością przyjął ofiarę, sędziowie tylko nie byli koncenci z nowego delikwenta, wylękli się, kiedy im



przyszło czytać ogromne foliasty akt, pisane po niemiecku. Siedział tu już rok, a sprawa nie postępowała. Komisya siliła się na podstępny, zadawała mu najlichniesze pytania, czyniąc zwroty nagłe z przedmiotu na przedmiot, a zawsze napróżno. Jolszyn już machnął ręką i dał mu za wygraną, mówiąc: „od niego nic się nie dowiemy.“ Siedział sam w kaźni, mając tylko Moroka, nad którym mścił się rozlicznymi sposobami, a zawsze tak dowcipnie, że go doprowadzał do wściekłości, bez żadnej dla siebie szkody. Czasami Morok, chcąc go sobie ująć, dawał mu książki, rozumie się za zezwoleniem komisji, lecz napróżno. Pomiędzy innymi ulgami Mroczkowski miał cygara, których mi używał w sposób dosyć szczególny; a jakaż to była radość, co za uczta, po tylu miesiącach zapalić cygaro i rozkoszować się dymkiem i marzyć!

Ignacy, pukając, czytywał mi książki; tym sposobem nauczyłem się „Maryi“ Malczewskiego, wyjątków z Pola i t. p. Nauka odbywała się tym sposobem: Po obiedzie, kiedy żandarmi znużeni drzymali po korytarzach, posypywałem na stole bardzo cienką warstwę piasku, sztyfcik służył mi za pióro, po wierszu dyktował Ignacy, a ja pisałem na stole; gdy cały blat był zapisany, a umieścilo się czterdzieści wierszy, uczyłem się na pamięć.

Niżeski również jak ja nic nie miał, dyktowaliśmy sobie wzajemnie z pamięci.

W najciemniejszym kącie mojej kaźni, napisałem sobie kalendarz na ścianie, codzień rano przekreślałem upłyniony dzień; kolumny przekreślonych

dni rosły, a jak to było boleśnie patrzeć na tyle zmarnowanego czasu, a jak długo jeszcze tak pozostanie?

Opowiedziałem Mroczkowskiemu mój protokół, jako starszemu więźniowi; śmiał się i był z niego zadowolony, a to już było dla niego nagrodą.

„Cóż myślisz teraz robić?—zapytał,—jeżeli cię wezwą do komisji?“

„Będę czekał na zarzuty.“

„A jeśli nie powiedzą?“

„To będę czekał.“—I czekałem, a czas włóki się powoli. Pragnąc mieć własny tytoń, prosiłem Moroka, by mi wyrobił pozwolenie w komisji; Morok odmówił. Chciałem podstępem dojść do posiadania fajki i zochorowałem na zęby. Fogt zapisał w książce i około godziny dwunastej zjawił się młody człowiek, doktor, w towarzystwie podoficera żandarmów, ulubieńca Moroka.

„Co pana boli?“—zapytał Eskulap.

„Zęby.“

Obejrzał zęby.

„No ja panu zapiszę krople, puszczać na wate i kłaść na ząb.“

„To nie pomoże, doktorze, ja zawsze leczyłem się fajką.“

„Tak trzeba że prosić komisji.“

„Prosiłem, odmówili.“

„No, tak i ja nie poradzę, ja zapiszę, oni nie dadzą.“

Zapisał materacyk.

Materacyk przyniesli, dla formy musiałem się obwiązać, zęby nie bolały, ale fajki nie było.



Pewnego dnia Morok na korytarzu Mroczkowskiego, pełną jak gadzina, usłyszał pukanie, żandarm chcąc się pokazać służbiście, zaczął podsłuchiwać Mroczkowskiego. Morok przystąpił do żandarma i zapytał, szepcząc:

„A co? puka?”

„Toczno tak (tak jest), wasze błahorodie.”

„A co puka?”

„Nie mogę znać, wasze błahorodie.”

„Jak to? słyszysz że puka i nie wiesz co?—kilka kufaków spadło na zęby gorliwego żandarma; dobra zapłata.—Daję ci pół godziny czasu, podsłuchuj, a jak powrócę, żebyś mi powiedział, o czym oni gadają” — i odszedł.

Żandarm przywołał kolegę swego.

„No, słuchaj, czy pukają?”

Żandarm przyłożył ucho, po chwili rzekł:

„Pukają.”

„Tak słyszysz?”

„Słyszę.”

„A co pukają?”

„A czort ich wie co.”

„Nu, i nie waryat to nasz kapitan, on przecie to i piśmienny i oficer, a nie wie, nie rozumie, a nam każde rozumieć! no, i co mu to powiem?”

„No, zełgać co, i będzie, np. mówili, co obiad był dobry.”

Morok powrócił nie długo.

„Nu! a co?”

„Niczego, wasze błahorodie.”

„Da, co oni pukali?”

„Oni? oni mówili tylko, wasze błahorodie, co obiad był dobry.”

„Lżesz, bydlę!” — zaszywał Morok, i znów kułakami obdarzył domyślnego żandarma i poszedł dalej.

Do pobitego żandarma przystąpił doradzca.

„Nu, powiedz spasibo.”

„Za co? że mi zęby potłukli?”

„Ech, ty durak! gdybyś ty powiedział, że nie wiesz, tak i zęby by ci potłukli i różgi jeszcze byś dostał, a tak tylko na kułakach się skończyło, wielka historia!”

Sceny podobne często się wydarzały i nie łatwiejszego jak pokierować rzeczy tak, że jeżeli żandarm zanadto gorliwy, musiał dostać kije, a potem do szpitala, gdzie najmniej miesiąc przeleży, jeżeli się nie wyniesie do wieczności.

Trzy miesiące upłynęło od chwili przyaresztowania mnie, a sprawa moja nie postąpiła na krok; jeszcze nie wiedziałem, za co siedzę. Pewnego dnia Morok spojrzął na podłogę i zapisał coś do książki w czasie rannej wizyty. Nie wiedziałem, co to znaczy; w parę godzin usłyszałem jakieś chodzenie nademną i stuk; sądziłem, że dostaję nowe go sąsiada, zacząłem pukać, napróżno. Za chwilę deszcz zaczął padać po całej mojej kaźni, obfitszy co chwila, nareszcie groził mi potopem. Na górze słychać szastanie, nielitościwe skrobanie i niezrozumiałe hece. Zapukałem do drzwi i pokazałem żandarmowi strumienie wody na podłodze i na łóżku; żandarm spojrzął, opuścił blachę i na tem

skończył. Powoli szastanie i pukanie ustawało, drzwi mojej kaźni otworzyły się i faworyt Moroka, podoficer żandarmski, wpadł do mnie, skinął palcem, wyszedłem za nim. Uszedłszy kilka korytarzy, zawsze w nieodstępem towarzystwie bagnatów, zamknęli mnie w pustej kaźni; łóżka tu nie było. Nie rozumiałem dlaczego taką komedią wypędzili mnie z mego mieszkania; pobiegłem do ściany, by się przekonać, czy są przynajmniej sąsiedzi. Na korytarzu tym ściany były drewniane; zapukałem, huk ogromny rozległ się po kaźni, w tej chwili odpukał sąsiad.

„Kto ty jesteś?”

„Przeździecki, a ty kto?”

„Jasieńczyk.”

Przeździecki był moim kuzynem, aresztowanym przed czterema miesiącami; zmartwił się, że i mnie taki los spotkał, jak i jego; opowiedziałem mu niektóre wiadomości i zapytałem, co to znaczy, że mnie tak porwali z kaźni, zatopiwszy ją pierwej.

„To podługę myli na górze, a teraz myją u ciebie; za chwilę zabiorą cię i wrócisz do swego numeru.”

Mieliśmy dużo jeszcze do pomówienia; w tem żandarm zapukał i odchylił blachę.

„Wybij szybę, to cię tu sprowadzą na czas wprawiania i pogadamy.”

Powróciwszy do kaźni znalazłem rzeczywiście podługę wymytą, czyli prawdę powiedziawszy, wodą zalaną, wilgoć, której i tak nie brakowało, zwiększyła się. Duszno i gorąco było; chodziłem pier-

wej bez obuwia, teraz i tego nie można, bo jakże krążyć boso po błocie, a buty były powykręcane.

Na drugi dzień, stawiając butelkę na oknie, jakoś przypadkiem uderzyłem w szybę i wybiłem; ruch powstał na korytarzu okropny, za chwilę wpadł Morok zapyrzony.

„Co to wyrabia?”

„Przypadkiem wybiłem szybę.”

Morok rzucił się do kraty, próbował czy nie podpiłowana; tymczasem żandarmi porwali mnie i poprowadzili mnie do innego numeru; trafiłem znów na sąsiedztwo Przeździeckiego. On siedział sam także i jemu odmawiano wszystkiego; uposażenie jego było wyższe tem, że miał pieczeń, czyli coś takiego, co Morok nazywał pieczenia. Już nie zwążaliśmy na pukanie i sykanie żandarma, by nie stracić drogiego czasu, pukaliśmy; w tem wpada zapyrzony Morok.

„Czy zwaryował? tam wybił szybę a tu rozmawia?”

„Szybę wybiłem przypadkiem, a tu nie rozmawiam, bo przecież tu nikogo nie ma a żandarm nie chce ze mną rozmawiać.”

„Zapowiadałem, żeby nie pukać! o! ja mam lekarstwo,” — i szedł naprzód, ja za nim, otoczony żandarmami i żołnierzami, postępując, zrozumiałem z ucińkowych wyrazów, że się na sucho nie skończy. Wszedłem do kaźni; niestety! szyba wprawiona, ale łóżko znikło, znikł i stolik; zanim to spostrzegłem, drzwi już były zamknięte. Pukam czemprędej, wołam na Moroka, blacha u drzwi podnio-

sta się i ujrzałem za okienkiem dwoje szyderczo uśmiechających się oczu i palec grożący Moroka. Blacha opadła.

Tydzień, zwinąwszy się jak pies w kącie, prześpałem na gołej podłodze; wściekłość mną miotła, nie chciałem prosić Moroka o łóżko. Zakatarzony od wilgoci, z ciałem poodgniatanem aż do silnych plam, kaszląc, włożyłem się z kąta w kąt. Jeszcze nie przeszedłem całej szkoły więziennej, oburzałem się; później podobne sceny tylko szyderczy uśmiech wywoływały na usta. Po tygodniu Fogt, widząc moje cierpienia, radził, żebym prosił Moroka o zwrot łóżka; odmówił mi. „No, to ja poproszę za pana.“ I na wieczór już miałem łóżko. Jakim sposobem wpłynął na Moroka, czy przez piękną jego żonę, na wdzięki której nie był zupełnie niezulym (tak przynajmniej głosiły plotki, które nawet i mury więzienne przenikają), nie wiem, jak tam było, doświadczyć, że miałem łóżko.

Sprawa moja nie posuwała się; czwarty miesiąc upływał, gawęda szła z kolegami, jeżeli zaś dyżurnym był żandarm, jaki poczciwszy, wdrapywałem się na okno, za pomocą łóżka, co z codziennej wprawy szło nadzwyczaj szybko, a chociaż widziałem tylko pasek wałów cytadeli i kawałek nieba, przecie i to było miłym, bo oddychało się świeżym powietrzem.

(„Dziesięć lat niewoli moskiewskiej“ —  
Jasieńczyk. — Lipsk, 1867.)

---

## Z PAMIĘTNIKÓW WŁAD. DANIŁOWSKIEGO.

Drzwi się nagle otworzyły i ujrzałem w nich z przerażeniem oficera żandarmeryi, a za nim pokazało się kilku policyantów i błysnęły bagnety żołnierskie. Co przeszedłem w tę jedną chwilę, opisać nie mogę. W oczach mi pociemniało, krew cała zdawała mi się zbiegać do piersi i dusić i cisnąć je gwałtownie, a na mózg, na głowę jakgdyby spadły mi ciężkie kamienie, tłocząc ją do ziemi.

„Co to jest?“ wyszeptalem, cofając się mimowolnie w głąb pokoju.

„Przyszliśmy Pana aresztować“ — rzekł, postępując naprzód oficer.

„Mnie! Za co? Wszak ja tylko co przyjechałem z Prus“ — mówilem zaledwie dosłyszonym głosem, nie mogąc jeszcze wyjść z osłupienia.

„Wszak Pan jesteś Wojnarowski Władysław?“ — zawołał, szyderczo uśmiechając się, żandarm.



„Ja jestem Alfons Wojnarowski.“

„Alfons? A mnie się zdaje, że to Pan Władysław— i z naciskiem wymówił ostatnie imię — a zresztą Pan się wytlómaczy gdzieindziej.“

Usłyszawszy moje imię, pomyślałem: „Wiedzą o wszystkim: jestem zgubiony!“ i prawie bezsilnie usiadłem na fotelu, nie mogąc ustać, jakgdyby cały gmach hotelowy zwałił się na moje barki.

„Niech dorożka zajężdża“—rzekł oficer do stojącego przy drzwiach policyjanta.

„To chyba musi być jakaś pomyłka — rzekłem, wróciwszy po chwili do zimnej krwi i spokoju — bo niema godziny, jak w tym hotelu stanąłem może jakieś formalności paszportowe?“

„Tak, to pewno o paszport; ja zresztą nic nie wiem.“

Nadzieja wstąpiła mi do serca: „To może pomyłka; zawiozą mnie do cyrkułu, sprawdzą rysopis i wypuszczą“. O, w takich chwilach człowiek lada słabej nitki się chwytą, nie chcąc wierzyć tak niespodziewanemu, tak wielkiemu nieszczeniściu. Ież to razy tak się zdarzało — przypominałem sobie w duchu — że przyjeżdżających z zagranicy brano pod areszt do komisarza cyrkułowego, porównywano rysopis w paszporcie, robiono rewizje w rzeczach i, nic nie znalazłszy, puszczano wolno. Trzeba jaknajprędzej wyjść z hotelu, bo Zwierzchowski z Janczewskim lada chwila mogą nadejść, a wówczas sprawa moja, gdyby ich złapano, może się pogorszyć znacznie.

„Tak, może to pomyłka“ — szeptałem w duchu, pragnąc odegnąć okropne obawy, jakie przed memi

oczami się tworzyły. W głowie mojej huczały jakieś burze oddalne, duszę okryła czarna męcząca niemoc; nie mogłem sobie zdać jasnej sprawy z mojego położenia, wszystko naraz plątało mi się w głowie. Wyrwało mnie z tego chwilowego odurzenia wejście policyjanta z oznajmieniem, że dorożka już zajechała. Wziąłem kapelusze, gotując się do drogi.

„A rzeczy swoje niech Pan zabiera, bo może tam długo przyjdzie Panu pozostać“ wyrzekł spokojnie oficer.

Te kilka słów zachwiały znowu całe gmachy słodkich nadziei. „A, pewno chcą zrobić rewizję“, podszepnął mi duch zwodniczy. Wyszliśmy przed hotel w towarzystwie policyj i umieszczono mnie w dorożce wraz z oficerem i policyjantami.

„Gdzie mnie Pan wieziesz?“ zapytałem oficera. „Nie wiem, nie mogę mówić, ale dowiesz się Pan zaraz.“

„Dlaczegoż taka tajemnica?“—rzekłem z przymuszonym uśmiechem.— „Pewno do Cytadeli.“

„Może, nie wiem — ot, prędko przyjedziemy na miejsce.“

Zamilkłem, widząc, iż nie się nie dopytam. Dorożka tymczasem skręciła na Senatorską ulicę. Wszędzie pusto, ani żywego ducha, choć zaledwie 9-ta wieczorem dochodziła; w kilku oknach światła błyszcząły, patrolo przechodziły po ciemnych ulicach miasta.

„Gdzie oni mnie wiozą?“—szeptałem do siebie, widząc, że dorożka skręca na Długą ulicę, zmierzając jakby ku Lesznu. „Gdyby wyskoczyć z do-



rożki i uciekać!“—błysnęło mi nagle w myślach. Spojrzałem po mej straży; policyjanci nie zdawali się zbyt bacznej na mnie zwracać uwagi, oficer patrzył gdzieś w przeciwną stronę. Oparłem się silnie nogą o dno doróżki, schwyciwszy nieznacznie drugą ręką za opuszczony fordekel i oczekiwałem sposobnej chwili, gotując się do niebezpiecznego skoku. Ale stojąca po rogach policya, częste patrole i pustki na ulicach przy zamkniętych bramach domów odwiodły mnie od nieprawdopodobnego przedsięwzięcia.

„Jeżeli, uciekając, zostanę złapany, rzucę na siebie ciężkie podejrzenie; nie wypuszczą mnie więcęć i odkryją w końcu, kto jestem, a jak odkryją, to“—i nawet w myślach nie śmiałem dokończyć, że czeka mnie szubienica. „A może nic nie wiedzą; może wszystko zakończy się rewizją i noclegiem w cyrkułe? Wszak nie wiozą mnie do Cytadeli!“

Tymczasem wjechaliśmy na oddalone, mało zabudowane ulice Warszawy i, po niedługiej chwili, zatrzymano się przed kratową bramą, poza którą czerniał ogromny jakiś gmach więzienny. Zbiegli się na dzwonek u bramy żołnierze z karabinami, otwarto bramę i wjechaliśmy do wnętrza. Wprowadzono mnie na piętro do kancelaryi; oficer, który mnie przywiózł, oddał jakiś papier siedzącemu w kancelaryi majorowi czy pułkownikowi i zostawił nas samych.

„Jak Pana nazwisko?“—zapytał mnie, powstając, ów major, który, jak się dowiedziałem, był inspektorem więzienia.

„Alfons Wojnarowski — odrzekłem — tylko co wróciłem z zagranicy, gdzie przebywałem dla słabości zdrowia, i nie wiem, co za powód mego aresztowania!“

„To już do mnie nie należy; to Pan komisji śledczej będzie się o to pytał. Jak Pan niewinny, to oni Pana zaraz wypuszczą“—dodał z dobrodusznym uśmiechem; potem, skinąwszy na dwóch żandarmów, rozpoczął ścisłą rewizję moich rzeczy.

Podczas tej rewizyi jakiś pisarz wojskowy zapisywał do księgi moje nazwisko i dzień przybycia. Kiedy na jego zapytanie odpowiedziałem, że jestem Alfons Wojnarowski, on z zadziwieniem zawołał, zbliżając się do inspektora:

*„Wasze wysokoblagorodie, oni goworiat, cztó Wojnarawskiej, a zdień w bumagie jen. oberpolicmaistra piszui...“*

„*Matczar!* — przerwał mu inspektor — *piszy tak, kak oni goworiat*“ i, wyrwawszy mu z ręki papier, cisnął go na swoje biurko.

Po rewizyi rzeczy, wzięto się do rewidowania mojej osoby. Rozebrano mnie do koszuli, przetrząsając drobniązgowo całe ubranie. Korzystając z odwróconej odemnie uwagi, zbliżyłem się do biurka, pragnąc ów papier od oberpolicmajstra przeczytać. Rzuciwszy nań okiem, wyczytałem między innymi następujące słowa: „Przybył dziś z zagranicy do Warszawy, pod nazwiskiem Wojnarowskiego, a w rzeczywistości znany emisaryusz rewolucyjny, Władysław D...“ Dalsze litery wypadkowo zakryte były rzuconą czapką inspektora; ale i tych było

dostatecznie dla przekonania się, iż wiedziano, kto jestem. Jeżeli jeszcze dotąd błąkała się iskierka jakiejś szalonej nadziei w mej głowie, to teraz zgasła już ona bezpowrotnie. Tyle jednak wrażeń w tym dniu przeszedłem, tyle niespodzianych nieszczęść uderzyło w mą duszę, że ten cios, ostatecznie mnie dobijający, nie podzielał na mnie tak silnie, jakby to przypuszczać można. Byłem w stanie jakiegoś chwilowego odrętwienia umysłu. W głowie uczuwałem jakiś niezrozumiały zamęt. Tysiące myśli cisnęło mi się do mózgu i niedokończone usuwały się przed drugim szeregiem, wciąż następującym. Wszystko to zdawało mi się snem, snem pełnym męczarni, snem ciężącym mi na sercu jak kamień grobowy, ale snem tylko. Nie zdawałem sobie dokładnej sprawy z tego, co się wkoło mnie działo. Jak przez mgłę pamiętam słowa inspektora więzienia, jakie do mnie mówił o prawidłach więziennych, o życiu, o śniadaniach i obiedzie. Ukończono nareszcie rewizję, zabrano mi wszystko, co mogło być podejrzanego lub zabronionego dla więźniów, jak zegarek, pieniądze i t. p., i wyprowadzono z kancelaryi. Szliśmy po jakichś korytarzach i schodach, aż przy jednych drzwiach, orszak mój zatrzymał się; przybiegło dwóch żołnierzy i dyżurny, otworzono kilka ryglów i zamków i ujrzałem się nagle sam jeden w maleńkiej wazkiej stancyjce, o jednym zakratowanym okienku.

Obejrzałem machinalnie to nowe mieszkanie. Stancyjka nie miała więcej nad 5 kroków długości a z półtrzecia szerokości. Całe umeblowanie skła-

dało się ze stołu, przymocowanego do ściany, laweczki, takież wpuszczonej w ścianę i łóżka, jeżeli tak można nazwać wiszącą na hakach, przymocowanych do stołu i ściany, ramę z płótnem i brudną poduszką. Stałem czas jakiś na środku, przypatrując się płomieniowi świecy, która przy drzwiach osadzona w piasek, paliła się zwolna. Nie wiem, jak długo stałem tak zatopiony w myślach, gdy nagle posłyszałem cichy, ale znajomy mi głos, śpiewający „Miserere“ z Trubadura. Głos ten przechodził jakby przez ścianę, cichy, ale wyraźny; poznałem go: był to głos pani Maryi C., zacnej i dobrze mi znanej patryotki, którą przed paru miesiącami widziałem w Paryżu, dokąd z depeszami Komitetu Narodowego przyjeżdżała. Całą uwagę zwróciłem na ten śpiew, przybliżając się zwolna do muru, z za którego zdawał się wychodzić. Zapomniałem na chwilę, gdzie jestem, zatopiony w słuchu i marzeniach o przeszłości. „Co ona tu robi?“ — zapytałem sam siebie, gdy śpiew zamikł — „Gdzie ona jest?“ i posunąłem się ku drzwiom, jak gdyby chcąc wyjść na jej spotkanie. Ale drzwi ciężkie, drewniane, zamknięte na rygle i zasuwę, stanęły przedemną, jak straszna rzeczywistość. Odkroczyłem na bok, jakby chcąc odegnąć przykre widzenie, spojrzałem po ciasnej celi i oknie zakratowanym i szepnąłem, jakby zbudzony ze snu: „Więc to więzienie!“ Naraz wszystko wróciło mi do pamięci: i mój przyjazd, i Zwierzchowski ze swemi zapewnieniami i aresztowanie w hotelu — wszystko to było straszną prawdą. Pod ciężarem

tych wspomnień upadłem na stojące łoże, miotany nieznana dotąd, bezwładną, pełną boleści rozpaczą. „Więc już wszystko skończone, wszystko już i coś ciężkiego przy tych słowach zdawało się spadać na piersi i oddech tamować, a serce kołatało jak młotem. „O Boże! czyż dla mnie niema już ratunku?“—szepnąłem, ciężko oddychając. — „Gdyby ofiarą połowy życia cofnąć się do dnia wczorajszego!—Gdyby to „dzis“ nie istniało jeszcze! jak to od małych rzeczy zależy przyszłość człowieka, jedno słowo „Nie jadę“—i bujałbym teraz swobodny po ulicach Paryża. Tak jest, byłbym w Paryżu między przyjaciółmi“. I nagle myśl moja zwróciła się do tej stolicy świata. Zdawało mi się, że jestem w swem mieszkaniu. Tak wyraźnie zarysował mi się mój pokój, iż mógłbym policzyć liście na obiciu i obrazy na jego ścianach. Papiery leżały na biurku, list niedokończony z pospiechu wyglądał z gazety, do której go włożyłem, franka jedna zapuszczona od światła, książka roz warta na stole—wszystko jakim zostawił, aby powrócić. „Powrócić?—nigdy już—nigdy! Wszystko zginęło!“ Westchnąłem gorzko, boleśnie. „Jak to się stało, jak to się mogło stać?“ myślałem, pracując zmordowaną tyłu przejściami głową. „Skąd dowiedziano się o mojem przybyciu do Warszawy? Niema kilku godzin, jak przyjechałem. Czyż policja mogła tak nagle, tak niespodziewanie wysledzić?—Byłem zdradzony! Tak, byłem zdradzony!“ zawołałem po głębokim namysle. „Ale któż zdracza!“ Długo nie mogłem odpowiedzieć na to

pytanie. Podejrzenie moje padło na wszystkich, prócz na prawdziwego winowajcę. Czyż mogłem w pierwszej chwili przypuścić, aby ten, którego nazywałem swoim przyjacielem, ten, któremu tak wiele zaufałem, ten, który z taką troskliwą niespokojnością oczekiwał mnie na kolei i odwoził do skrycie przygotowanego mieszkania, aby Zwierzchowski nareszcie był zdrajcą! A jednak tak było. Nikczemnik ten, jak się później dowiedziałem, ułożył się z jen. policmajstrem o sprowadzenie mnie i kogo jeszcze zdola, z emigracyi do Warszawy za pieniężne wynagrodzenie i przebaczenie win, dawniej na nim ciążyących. Nie jednak jeszcze wówczas o zdradzie tego nikczemnika nie wiedziałem. Później dopiero dotykalne fakta aż nadto mnie przekonały. Pierwsze moje podejrzenie padło jak najniewinniej na tego obywatela, co to w wagonie kolei żelaznej tak mi się przypatrywał i ciekawie wypytywał o nazwisko. Zapewne widział mnie w Paryżu, a teraz przeczytawszy moje nazwisko przybrane, doniósł policji dla przypodobania się jen. policmajstrowi (z którym, jak mówił, znał się osobiście). I długo, długo zlorzeczyłem mu napróżno.

Myśli moje co chwila przebiegały z przedmiotu na przedmiot, rozgorączkowane tyłu ciosami, jakie uderzyły w mą głowę. To chmury, to promienie słońca i nadziei przesunęły się przed moją znękaną duszą, ciągle jednak z jakimś tajemnym uporem wracając do tych słów fatalnych „Jestem w więzieniu, w rękach mych wrogów!“ Zmordowany temi



myślami, zerwałem się z łóżka i zacząłem machinalnie obiegać maleńką moją celę. W głowie zdawały mi się szumieć tysiączne głosy, do uszu dolał jakiś szmer przykry i tajemniczy, jak gdybym wołał swoją nie panował już nad otaczającymi wrażeniami. Całe moje życie przesuwano mi się przed oczami tak dobitnie, tak wyraźnie, jakbym w głębi duszy mojej oczy zapuszczył i przeszłość badał. Zatrzymywałem się bezwiednie nad szczęśliwymi jego chwilami, jak gdybym powrócić miał do nich. Najdrobniejsze szczegóły, słowa, które kiedyś słyszałem, twarze przyjaciół i znajomych, płynęły z wolna i tak żywo, iż prawie rozmawiać z nimi chciałem. Przedłużałem umyślnie to marzenie na jawie, zatapiałem się głębiej i głębiej w tych radosnych wdziałkach jak w świecie, z którego wyjść już nie pragnął. Ale chwilami marzenia rozpraszały się nagle: okropna rzeczywistość stawała groźnie i nieubłagane przed memi oczami. Straszny i męczący był ten pierwszy wieczór w więzieniu.

Strudzony i przycięsniący bolesną rozpaczą, usnąłem jakimś kamiennym, grobowym snem, jakbym już nigdy obudzić się nie miał. Nie wiem, jak długo byłem w takim stanie, ale kiedyś się zbudził, noc jeszcze była. Dopalająca się świeca rzucała blade, nienagane światło na moją celę. W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Byłem przekonany, iż śpię u siebie w Paryżu. Rozglądałem się nawpół obłąkanymi oczami po białych ścianach i kratkach w oknie. „Nie, to nie moje mieszkanie” — pomyślałem, jakby odkrywając rzecz nadzwyczajną — „gdzież

jestem?” i serce mi się tak ścisnęło, piersi takim przygniotły kamieniem, że nawet dalej myśleć już nie mógł. „Och, to sen, to sen być musi!” i zamknąłem znów powieki. Dreszcz jakiś gwałtowny przebiegł mi po ciele, a później gorąco aż do skroni uderzyło. Wpadłem w jakieś osłupienie. Spałem nawet chwilami, ale sen to był ciężki, przerywany. W głowie mi się coś paliło, oczy zamykały bezsilnie. Nic nawet nie śniłem. Tylko czasami przebiegła jakby jakaś chmura, pełna jaskrawego ognia, to jakieś skały ogromne walono mi na piersi; lecz ja nie otwierałem oczu. „Jestem chory — myślałem w jaśniejszych chwilach — jutro obudzę się i wszystko to zniknie — och, żeby tylko prędko to jutro nadeszło!”

Nadszedł nareszcie i jutra poranek, ale jaki, jaki poranek! Drzemałem jeszcze tym snem gorączkowym, co to więcej męczy, niż całonocne czuwanie, kiedy wejście kilku żołnierzy zbudziło mnie nareszcie.

„Co to? Co to?” — spytałem, podnosząc ciężącą mi, jakby ołowiem nalaną, głowę.

„*Czaj wam, kuszajcie*” — odezwał się po rusku jakiś głos nieznanomy.

Podniosłem się i, zbliżywszy do stołu, ujrzałem czajnik z herbatą i dwie małe bułeczki. Nic nie jadłem od wczoraj rana, od wyjazdu z Bydgoszczy, a jednak nie mogłem i jednego kawałeczka bułki przełknąć. Twarz mnie, jak ogniem, paliła, w głowie pulsa biły gwałtownie, a w ustach gorycz jakaś chorobliwa i przykra. Jedno spojrzenie po zakra-



townem oknie, po drzwiach, opatrzonych mocnymi ryglami i małym okienkiem, z którego dwoje nieruchomych oczu pilnującego mnie żołnierza patrzyło, przekonało mnie o strasznej rzeczywistości. Za chwilę wezwą mnie zapewne do śledztwa, do komisji śledczej. Śledcza komisya wie już, kto jestem i czym byłem. — Kołka tygodni wszystko się skończy. A może — może nie mają żadnej pewności i tylko aresztowano mnie na proste podejrzenie lub denuncyację, bez żadnych dowodów. Jakkolwiek-bądź, postanowiłem nie przyznawać się do swojego nazwiska aż do ostateczności. Kto wie, może, nim zbiorą niezaprzeczone dowody mej tożsamości, ja zdołam przy pomocy przyjaciół zemknąć z więzienia. Przecież Rudnicki, Zwierzchowski i Janczewski nie poszczędzą wszelkich starań, aby mnie od śmierci ocalić. Ucieczka z Berlina przyszła mi na myśl i rozchmurzyło się serce moje iskierką słabej nadziei.

Co godzina prawie oczekiwałem wezwania do komisji, ale oczekiwałem napróżno. Południe już nadeszło, przyniesiono mi obiad, którego ani tknąłem. Zdaje się, że wszelkie uczucia i wrażenia życiowe zamarły we mnie, prócz jednych myśli o mym losie i o mem nieszczęściu. Nic nie wiedziałem, jak wyniesli obiad, nawet nienapoczęty, jak przyniesiono wodę, jak zapalono świecę i noc się zaczęła. Siedziałem ciągle, wpatrując się w jakiś nieczytelny napis, na stole wyrwany zapewne przez mego poprzednika. Wyrwało mnie na chwilę z tego odurzenia pukanie w ścianę, pukanie ciche, miarowe

i wciąż się powtarzające. Domysliłem się zaraz, że to mój sąsiad-więzień pragnie ze mną rozmawiać językiem murów. Wiedziałem wprawdzie o tym więziennym alfabecie, o podziale liter na kilka rzędów i oznaczaniu za pomocą pukania odpowiednich liter, ale z początku nic a nic rozumieć nie mogłem. Cierpliwy mój sąsiad z godzinę blisko pukał zwolna i dobitnie, aż nareszcie odgadłem, iż pięć rzędów jest w tem abecadle po cztery w każdym liter, do których *q* i *ç* nie wchodzi. Zrozumiałem go nareszcie, pukał on: „A k-t-o j-e-s-t-e-ś i j-a-k d-a-w-n-o p-r-z-y-b-y-l-e-ś?” Odpowiedziałem, wolno pukając i często się myląc: „Wojnarowski” i zapytałem, co on zacz? Dowiedziałem się, że Żelechowski (czy coś podobnego) burmistrz. Kilka te słów wymagały prawie pół godziny czasu do ich wypukania przy mojej początkowej niezręczności. Zawsze jednak była to rozmowa, rozmowa z również nieszczęśliwym współwięźniem. Mogłem choć na chwilę oderwać się od gnębiących mnie myśli, zapomnieć, a przynajmniej przytłumić rozsywając mi serce rozpacz. Rozpoczętą tak mozolnie rozmowę przerwał nam dyżurny żandarm, otwierając drzwi dla przepuszczenia *śluszytela*, wraz z żołnierzem przynoszącego wieczorną herbatę. Skosztowałem jej zaledwie, aby odwilżyć gorączką palone usta, bo apetytu nic a nic nie miałem.

Co to się znaczy, że mnie do komisji dziś nie wezwano? Czyżby nie wiedziano, kto jestem i traktowano jako zwyczajnie mało znaczącego więźnia? Kiedy jest człowiek zupełnie bez ratunku, to wów-

czas często najdrobniejsza, nic nieznacząca okoliczność budzi w nim zaraz nigdy nie niknącą nadzieję. To, że mnie komisya przez cały dzień nie wezwala do sledztwa, już mi się wydało niejaka oznaką, że o mem prawdziwym nazwisku nie wiedzą. Bo czyżby zostawili mnie tak długo w spokoju? Zapomniałem jednak, że to była niedziela, a komisya posiedzeń w święta nie miewała.

Po herbacie, t. j. kiedy już zabrano czajniki, znów zacząłem pukać do mego sąsiada; ale długo nie odbierałem żadnej odpowiedzi, aż dopiero widząc, że pukanie moje nie ustaje, dał mi sygnał o ścianę, abym ucichł, i wypukał te słowa „M-o-d-l-ę s-i-ę, n-i-e p-u-k-a-j t-e-r-a-z.“ Modli się, modli: ach, jak ja dawno się nie modliłem! Skądże teraz mieć mogę pomoc, jeżeli nie od Tego, co jest nad nami? O Boże, jedno słowo Twoje, i będę swobodny; i kraty te i mury i strażę nie wstrzymają mnie, jeżeli Ty zechcesz. Och, jaka to wielka prawda, iż w nieszczęściu, opuszczeni od wszystkich, wracamy się do Tego, o którym niebacznieśmy zapominali. Zacząłem się modlić, jak w pierwszych chwilach mego dzieciństwa, i rozpacz moja ucichła na chwilę i smutek mój rozjaśnił się tą modlitwą i tą myślą, iż po nad władzą i potęgą ludzi jest jeszcze On, wszechmocny i miłosierny. Czuję w tej chwili, iż życie moje i przyszłość nie zależą już tylko od woli tych, co mnie uwięzili.

Noc przepędziłem troszkę spokojniej. Ostatni sen, jaki miałem, był pełen szczęśliwej nadziei. Śniłem ucieczkę z więzienia, ucieczkę pomyślną, jak owa

z Hausvogteiu berlińskiego. Sen mój ciągnął się dalej i na jawie. Przedłużałem go umyślnie, aby do smutnej rzeczywistości nie powracać. Wyobrażenia moja tak mnie daleko uniosła i w tak wyraźnych obrazach przedstawia mi się moja wymarzona ucieczka, jak gdybym rzeczywiście ją już wykonywał. Widziałem siebie, jak przyczajony w nocy, korzystając z drzwi, które dyżurny otworzył dla zapalenia zgaszonej umyślnie przezemnie świecy, wymykam się na ciemny korytarz; ażeby zaś nie poznali mej nieobecności, pozostawiłem przyrządzoną z mego ubrania lalkę, nakrytą kołdrą. Wydstawszy się na korytarz, czekam w framudze okna na sposobną chwilę, aby się przemknąć na dziedziniec i ukryć tam między gospodarskimi zabudowaniami. Przechodziłem właśnie w myśli przez mur, otaczający dokoła więzienie, kiedy silny głos zawołał nagle:

„W komisyu pan!”

Obejrzałem się: przedemną stał wysoki żandarm wraz z dyżurnym. Cała wymarzona moja ucieczka rozpięzchła przed tą stojącą rzeczywistością.

„Komisya woła pana” — z polską powtórzył żandarm, widząc, że się nie ruszam z miejsca.

Orzeźwiony tem powtórnem wezwaniem, zarzuciłem palto i wyszedłem w towarzystwie żandarma i żołnierza z karabinem. Idąc przez korytarze i dziedziniec do przyległego gmachu do komisji, przebiegałem myślą tysiączne zapytania, jakie mi tam zadawać mogą. Czy wiedzą, kto jestem? Czy też tylko na domysł, przez podejrzenie mnie areszto-

wano? Za chwilę wszystko się rozstrzygnie. Przybyliśmy do drzwi, gdzie komisya zasiadała.

„Tam, za temi drzwiami“—myślałem—„zdecydują o mojem życiu lub śmierci; tam, za temi drzwiami przyszłość się moja rozstrzygnie.“

Drzwi się otwały. W niewielkim pokoju, przy stole siedziało dwóch wojskowych, czytając jakieś papiery. Jeden z nich starszy wiekiem i rangą, wskazał mi z ukłonem na krzesło, obok niego stojące. Usiadłem w milczeniu, starając się nie okazać najmniejszego zmiśzania, jakiegokolwiek byliby zapytania.

„Jak pana nazwisko?“ — zapytał, patrząc mi się bystro w oczy.

„Alfons Wojnarowski“—odpowiedziałem.

„Och! Pan widzę żartuje z członków komisji śledczej; my wiemy dobrze, kto pan jesteś!“—rzekł z szyderczym uśmiejchem.

„Nie rozumiem; czego pan żądasz odemnie.“

„Prawdy, prawdy żądamy od pana. Wiedz pan“—dodał po chwili,—„iż nic o panu nie jest nam tajne. Prawdziwe nazwisko pana, które napróżno chcesz utaić, jest Daniłowski Władysław.“

Przygotowany byłem na jego słowa, choć przyznać muszę, że dotąd miałem choć słabą nadzieję, wierzyłem nawet chwilami, iż areszt mój jest tylko przypadkowy.

„Nie jestem Daniłowski,“ — odrzekłem niezmiśzany, czego się zapewne spodziewał ów członek komisji—„jestem Alfons Wojnarowski i niewiem, z jakiego powodu jestem aresztowany.“

„Pogarszasz pan tylko swoją sprawę tem niepotrzebnem zapieraniem. Wierz pan mi,“ — rzekł z dobrotliwym wyrazem, — „że chcielibyśmy, o ile można, los pański złagodzić. Szkodzisz pan sobie. Wszystko o panu wiadome. Nim pan wyjechał z Paryża, już wiedzieliśmy, gdzie jedziesz; kaźden krok pana był śledzony. Ocalić pana może tylko otwartość i szczerość z nami. No, jakże, panie“ — dodał, widząc, że nic na ten potok słów nie odpowiadam — „czyż pan namyslił się prawdę nam mówić?“

„Ja zawsze prawdę mówiłem i namyslać się nad odpowiedzią nie potrzebuję“—rzekłem z udaną stanowczością \*). . . . . Daniłowski.

„Nie, panie Jenerale“ — odrzekłem — „ja jestem Wojnarowski.“

„Wojnarowski! Wojnarowski!“—zawołał, a twarz jego nabrała pomarańczowego koloru,—„pan chyba nie wiesz, że wszystko o panu wiadome. Mamy tu już pańskich wysłańców: Janczewskiego, Ulatowskiego, Sawę i Zwierzchowskiego.“

„Ja nie znam tych nazwisk,“—przerwałem.

„Nie znasz pan, nie znasz?“—i zaśmiał się szyderczym, kłującym mnie, jak sztylet, śmiejchem.— „A czyż nie słyśzałeś o listach paryskich, o Zwierzchowskim, o jenerał-policmajstrze?“—i znów oczy jego podniosły się na chwilę.

\*) Tu i na następnej stronie brak wskutek oddarcia blisko 2/3 karty rękopisu 529—530



Czyż może być—myślałem—aby wszystkich areztowano, aby Zwierzchowski zdradzał? Oni tylko z rozmów nieostrożnych w Paryżu dowiedzieli się . . . . .  
żadnej nadziei, jestem zgubiony—pomyślałem w duchu, rzucając się na tapczan i ściskając rękami głowę, gdyż w skroniach krew mi młotem uderzyła a w uszach szum, jak od stu młynów słyszałem. Jakiś czas leżałem tak bez ruchu, ciężko oddychając. Żadnego ratunku. Wiedzą, kto jestem, — powtarzałem w swych myślach — wszystko stracone.

Godziny wolno płynęły wśród posępnych, pełnych rozpaczki myśli. Wstałem z tapczana i zacząłem chodzić szybkimi krokami po wąskiej i ciasnej celi, uderzając się co chwila o ściany, jak dziki zwierz, zamknięty w klatce. Myślałem, że ten ruch szybki uspokoi mój umysł lub przynajmniej rozgoni na chwilę czarne myśli. O zwykłej porze przyniesiono obiad, ale nie tknąłem go nawet. Gorączka paliła mi wnętrzości, a usta napelnione miałem goryczą, która nawet wodę z trudnością pozwalała mi przelykać.

Zmęczony parogodzinnym chodzeniem, usiadłem na tapczanie w jakimś niemem odrętwieniu, z którego wyrwało mnie pukanie w ścianę. Odpukałem kilka razy na znak, że słucham, tem chętniej, że ta rozmowa pukana mogła choć trochę rozerwać przykre i dręczące mnie myśli. Towarzysz mój papytywał mnie, jak stoi moja sprawa i co mi mówiono w komisji.

„Źle bardzo ze mną“—odpowiedziałem,—„bo mnie pod sąd oddadzą.“

„Cóż ci zarzucają?“—wypukał mój kolega.

Nie chciałem powiedzieć prawdy w obawie, czy czasem uności mej nie zdradzi, lub czy za ścianą nie siedzi i puka szpieg, nasadzony przez komisję, jak to się czasami zdarzało. Odpukałem mu przeto, iż posądzają mnie o zmianę nazwiska i mają za kogo innego.“

„Nie lękaj się, mój bracie“—odpowiedział—„to wszystko się wyjaśni i będziesz wypuszczony.“

Och, pomyślałem, jak tylko się wyjaśni, to wypuszczą mnie, ale na szubienicę.

„A ty za co tu siedzisz?“—zapytałem.

„Mają mnie w podejrzeniu, że należałem do zandarmów narodowych; ale nie ma na to żadnych dowodów, gdyż tylko jeden świadek zeznał, że widział mnie czytającego wyrok śmierci na jednego posądzonego o szpiegostwo. Jak ty sądzisz?“—dopukał po malej przerwie—„czy mnie uwolnią?“

Łudzi się słodką nadzieją—pomyślałem w duchu—tu, gdzie za blahe często podejrzenie wysyłają na Sybir, a na niego mają nawet świadka. Ale dlaczego odbierać mu nadzieję?—szepnąłem sobie i odpukałem mu z całą powagą:

„Ja sadzę, że cię z pewnością uwolnią.“

Usłyszawszy moją odpowiedź, zaczął wybijać na ścianie jakiś marsz radosny, a później składać mi tysiączne podziękowania, jakgdyby rzeczywiście od słów moich los jego zależał. Nieskończył jeszcze swych dzięków, kiedy nagle drzwi moje otworzyły



się i ukazał się w nich gniewny dyżurny ze słowami:

„Pan nie pukaj, a to komisji donosę; ja wszystko widzę, co wy pukacie. Komisji donosę“ — i drzwi znów się zamknęły.

Mój towarzysz otrzymał również takie ostrzeżenie. Postanowiliśmy być ostrożniejsi i pukać, siedząc na łóżku w takiej pozycji aby nas przez okienko w drzwiach nie dostrzeżono. Wieczorem wyprowadzono mnie na spacer pod konwojem trzech żołnierzy. Odetchnąłem świeżem powietrzem i popatrzyłem się na chmurne niebo, którego z mego okna nawet widzieć nie mogłem. Spacer trwał tylko pięć minut wedle regulaminu więziennego. Otrzeźwiony na chwilę tą minutową przechadzką, powróciłem znów do swego wpółodrętwiałego i marzącego stanu, gdy się między czterema ścianami mej celi znalazłem. Wszystkie mury, które odgarniałem od siebie, wróciły tłumnie, mordując przybity nieszczęściem umysł. Noc miałem niespokojną, męczącą, pełną snów złowieszczych. Z samego rana wezwano mnie do komisji i zapytano, czym się już namyślił przyznać do swego nazwiska.

„Ja nie taję swego nazwiska, — odrzekłem — wszak i wczoraj mówiłem panom, że jestem Wojnarowski.“

„Gubisz się pan, gubisz napróżno: wszystko wiadome, wszystkich współników pańskich aresztowano, nie już teraz upór nie pomoże. Wiedz pan, że żadna już siła wydstać pana z rąk naszych nie może. Będziesz pan stracony.“

Widząc jednak, że ta przemowa nic na mnie nie poskutkowała, kazano mnie odprowadzić, polecając dobrze się namyślić nad skutkami mego uporu. Przez 8 czy 10 dni z rządu nie wzywano mnie już do komisji, a tylko jeden z członków, Gryczyn, przychodził do mej celi z zapytaniem, kto jestem i czy ciągle trwam w swoim postanowieniu zapierania się swego nazwiska, a odbierając zawsze jednakową odpowiedź, odchodził gniewny, żegnając mnie groźbami.

Przez dni te pełne niepewności i bolesnego oczekiwania byłem w nieustannej gorączce. Co chwila spodziewałem się usłyszeć coś okropnego, coś, co mnie odrazu zabijało w oczach mych sędziów. Czulem, że muszą zbierać dowody mej tożsamości i win moich przed rządem, kiedy tak pozostawiają mnie w pokoju. Tak byłem rozdrażniony i zdenerwowany, że każde otwarcie drzwi moich napełniało mnie wewnętrzną obawą. Dreszcze przebiegały mnie od stóp do głowy, choć całe ciało było, jak w ogniu.

Dwunastego czy trzynastego dnia przyszedł znów ów, ciągle odwiedzający mnie, członek komisji z uroczystym oświadczeniem, iż po raz ostatni w imieniu prezydującego zapytuje mnie, czy przyznam się nareszcie do swego prawdziwego nazwiska.

„Przecież ja ciągle panom go mówię,“ — odrzekłem z udaną spokojnością.

„Nie, panie, to musi się raz skończyć; namiestnik nakazał jaknajśpieszniej śledztwo nad panem przeprowadzić i akta sobie przedstawić. Jeżeli pan

dalej zapierać się będziesz, to wiedz pan, że rząd pozwala nam używać nadzwyczajnych środków dla wydobycia prawdy.“

Będą mnie męczyć—pomyślałem i wszystkie dawne pogłoski o torturach w cytadeli przedstawiły mi się w wyobraźni.

„No, jakże, panie Daniłowski, — zawołał członek komisji — czy namyśliłeś się pan nareszcie?“

„Nie potrzebuję się namyślać, — rzekłem cichym głosem — już mówiłem, że nie jestem Daniłowski.“

„Dobrze, dobrze, jak pan chcesz; ja odniosę odpowiedź prezesowi, lecz sam pan już teraz tylko na siebie narzekaj“—i, powiedziawszy to, gniewnie zatrzasnął drzwiami, pozostawiając mnie samego.

„Będą mnie zmuszać, wsadzą do kazamat podziemnych, będą bić, a może, kto wie, czy nie prawdę gadają o torturach, o zapadającej się podłodze.“ Takie i t. p. przebiegały mi myśli po głowie. Niedługo znów się drzwi otwarły i zaprowadzono mnie do komisji. Teraz—szepnąłem sobie—najstraszniejsza dla mnie chwila nastąpiła.

W pokoju, do którego mnie wprowadzono, czekał już prezes komisji. Twarz jego żółtozielonawa i co chwila podnoszące się oczy okazywały gniew, źle tłumiony.

„Czego pan się nie przyznajesz do swego nazwiska?“—zawołał, zbliżając się do mnie. — „Trzydzięści osób sprowadziliśmy z Warszawy, które wszystkie osobiście pana znają. Będzie naoczna konfrontacja. Czyż jeszcze będziesz się zapierał?“

Milczałem, czując, że może być prawda w jego słowach: w Warszawie tylu miałem znajomych!

„No, cóż? Czemu pan nie odpowiadasz?“

„Ja nie mam nic do odpowiedzi, panie pułkowniku, tylko że podobieństwo moje do innej osoby...“

„Milcz pan!“—krzyknął, trzясąc się cały od złości.—„Czyż to my nie wiemy, kto jesteś?“—a potem, zbliżywszy się, wziął mnie za ramię i przysunąwszy do ogromnej jakiejś szafy, rzekł. — „Stój pan tu, a ty“—zawołał do żołnierza z karabinem—„stań przy nim po tej stronie. Przyznasz się pan, przyznasz teraz!“—zawołał z jakimś piekielnym uśmiechem.

Stałem tak kilka minut w milczeniu, czekając, co dalej będzie, i rozglądając się niespokojnie po pokoju. Prezes stał również milczący, jakgdyby oczekując czegoś. Za chwilę zapukano lekko w drzwi, naprzeciw mnie będące; na znak ten umówiony pułkownik stuknął nogą w podłogę.

Co to ma się znaczyć, co to będzie?—myslałem sobie. Spojrzałem na podłogę, czy czasem tafla, na której stoję, nie zapadnie się pod ziemię, lub czy z wielkiej owej szafy nie wyskoczą kaci. Ale cicho było dookoła, tylko za owymi drzwiami słychać było jakiś szelest cichych kroków, jakgdyby wiele osób przechodziło, zatrzymując się przy drzwiach owych; usłyszałem nawet głosy, coś szepczące, pomiędzy którymi zdawało mi się słyszeć znany głos kobiecy. Za chwilę wszystko ucichło. Prezes wyszedł do tamtego pokoju i natychmiast powrócił.

„Wszyscy sprowadzeni z miasta świadkowie pana poznali. Trzydzieści osób potwierdziło, kto pan jesteś” — rzekł, zwracając się do mnie.

Domyśliłem się dopiero, iż pokazywano mnie przez dziurkę od klucza jakimś wezwanym świadkom.

To taka u nich naoczna konfrontacya — pomyślałem.

„Cóż, pan nie odpowiadasz?”

„Ja nie wiem, komu mnie przedstawiono; nikogo nie widziałem.”

„Ale oni pana widzieli! Co za szalony upór, przekłety upór. Zbliź się pan tu” — rzekł, pokazując mi na drzwi — „zobaczysz tam swego przyjaciela.”

Postąpiłem ku drzwiom, wziąłem je za klamkę, chcąc otworzyć.

„Nie wolno otwierać! Patrz pan przez dziurkę od klucza!”

Nachyliłem się ku drzwiom i, rzuciwszy okiem, ujrzałem tylko salę obszerną, na środku której stał stół z krucyfiksem z czarnego drzewa.

„Ja nic tu nie widzę prócz krzyża” — szepnąłem. Rzucił się do drzwi prezes na te słowa i odchyliwszy je, krzyknął.

„Za czym jewo wzięli? Postawit nad!”

Za chwilę usłyszałem jakieś kroki za drzwiami i trzykrotnie w drzwi zapukano.

„No, patrz pan teraz: zobaczysz swego spółnika.”

Zbliżyłem znów oko do dziurki od klucza: to, co ujrzałem, długo mi nie wyjdzie z pamięci. Przed

mojem okiem stał wyprostowany, jakąś trupią, żółtawą bladeścią okryty człowiek. Oczy jego nieruchome, w jeden punkt patrzące, były bez życia i, gdyby nie boleśnie skrzywione usta i smutek głęboki, rozlany po całej twarzy, można go było wziąć za woskową figurę. Patrzałem tak parę sekund, jakby nieprzytomny, aż oczy tej figury, stojącej za drzwiami, zwróciły się nagle w moją stronę z wyrazem niemej rozpaczki: był to Sawa-Rudnicki. Czulem, jak cała krew zbiegła mi do serca, musiałem być błądy i zmieszany i dlatego silniej przycisnąłem twarz swą do drzwi, aby pomięszanie moje nie zdradziło tego, co się działo w duszy.

„I cóż, poznajesz pan Sawę?” — zabrzmiał mi nagle szyderczy głos prezydującego.

„Nie, ja nie znam tego człowieka” — rzekłem, ciężko oddychając.

„Nie znasz, nie znasz! A on cię zna!” — krzyknął rozjadłym głosem. — „My tu inaczej z panem postępować zaczęliśmy. Dostyc tej komedyi” — i wybiegł z pokoju, a za chwilę powrócił z jakąś karteczką w ręku. — „Przeczytaj pan, to Rudnicki pisze, a jeżeli jeszcze mało tych dowodów, to zaraz zobaczysz się ze swoją familią, z ojcem i braćmi; oni przecież poznają, kto pan jesteś.”

Wziąwszy do ręki podany mi papier, poznałem zaraz, rzuciwszy nań okiem, pismo Sawy-Rudnickiego. W karcie tej, własnoręcznie przez niego napisanej, przyznawał, iż przedstawiona mu osoba (t. j., ja) jest Władysław Daniłowski, z którym ra-



zem przyjechał z Paryża. Trudno już dalej było się zapierać, a jednak walczyłem jeszcze z myślami, czując, że ostatnie chwile moje są bliskie. Ciężka mi zresztą [ta niepewność i obawa przy każdym zawezwaniu do komisji, czy czego nie odkryli i co nowego przygotowują dla mnie. Nie przyzwyczajony do udawania, zwłaszcza tu, gdzie tyle dowodów było przeciw mnie, dręczyłem się tą niejasną i niepewną pozycją gorzej, niż odkryciem prawdy, choćby ona miała mnie na szubienicę zaprowadzić.

„Chodź pan tu”—zawołał przydujący, wprowadzając mię do obszernej sali i przerywając moje marzenia swym przykrym głosem.—„Tu wobec komisji będziesz pan badany, a jeżeli jeszcze mało dla ciebie dowodów przekonujących, kim jesteś, to sprowadzimy pana ojca, braci i familię całą do protokołu.“

Te jego słowa ostatecznie mnie zdecydowały. Nie mogłem przenieść myśli, aby ojca i braci przyprowadzono do mnie, skonfrontowano naocznie, a może i więziono.

Nie!—powiedziałem sobie w duszy.—Nie będę narażał ojca i braci na tak bolesną scenę. Cóż znaczyło kilka dni oporu, gdy koniec zawsze był jednakowy? Czyż oni potrzebują koniecznie przyznania się mego do nazwiska? I tak wiedzą już więcej, niż trzeba, na to aby stracić człowieka. Kość już rzucona, wytrzymajmy więc walkę z godnością i poddaniem się losów. W tej chwili rozdierałem ostatnią kartę mego życia, niszczyłem ostatnią iskrę nadziei.

„Nie potrzeba już więcej żadnych konfrontacji“—rzekłem dość spokojnym głosem, przybliżając się do stołu, za którym siedział przydujący i członkowie komisji.—„Tak jest, dobrzeście panowie odgadli z początku; lecz myślałem, jak każdy człowiek w nieszczęściu, że jest gdzieś jeszcze nic zbawienia. Teraz wszystko się już skończyło. Przyznaję się wam, panowie: ja jestem Władysław Daniłowski.“

Uśmiech wewnętrznego zadowolenia przebiegł po twarzach członków komisji śledczej. Dobadali się, przymusili politycznego więźnia do wykradcia, kim jest, zasłużyli się (w ich przekonaniu) swemu rządowi, byli szczęśliwi.

A ja?

W mem sercu, boleśnie ściśniętem, opuściła się czarna, posępna chmura, pokrywająca wszystkie moje władze umysłowe. Czulem w tej chwili, że struny mego życia pękały jedna po drugiej.

„Trzeba było od tego zacząć“—rzekł prezes, posuwając mi krzesło, abym usiadł.—„Wszak dobrze wiadomo nam było, kto pan jesteś, zkąd przyjechałeś i poco, i jakie pan zajmowałeś stanowisko między swoimi.“

Nic nie odpowiedziałem, bo myśl moja była gdzieś indziej.

„Nie będziemy pisać dziś protokołu, bo pan ewno zmęczony; widać to po twarzy“—dodał nader ugrzecznonym głosem; odrazu wilk zmienił się w salonowca.

„Tak, rzeczywiście jestem zmęczony“ — szepnąłem — „jeżeli panowie pozwolą, to wolalbym jutro odpowiadać na zapytania.“

„Bardzo chętnie się zgadzamy“ — rzekł prezes — a nawet lepiej tak zrobimy: damy panu papier i pan sam u siebie jutro lub pojutrze napisze o tem, jak był członkiem komitetu, komisarzem na emigracyi i t. p., bo o tem wszystkim wiemy, mamy tu w zeznaniach Rogińskiego, Landowskiego, Janczewskiego i innych.“

W kilka minut byłem już w swojej celi z kilku arkuszami papieru, na których miałem pisać swoje własne oskarżenie.

*(„Władysława Daniłowskiego notatki do pamiętników“ — Kraków, 1908.)*

---

## W CYTADELI WARSZAWSKIEJ

### JORDAN.

Zajechaliśmy do Warszawy około 10-ej wieczór. Drżałem o jedno, żeby się znowu do obmierzłego mi Pawiaka nie dostać; w drodze dopiero, skręcając na Zakroczymską i na jakieś puste place, z którymi poznać się nie mogłem, domyśliłem się, że do Cytadeli jedziemy.

Noc była księżycowa, widna prawie, jak dzień; lekki przymrozek na pełni obielał dachy ogromnej twierdzy, błyszczącej zdala srebrnym blaskiem księżyca w pełni. Przez most drewniany, zawieszony w powietrzu, przez ogromną sklepioną bramę, w której łoskot kół ogłuszał, wjechałem w okopy, okalające ogromną tę twierdzę. Wrażenie było piorunujące... echa głuchego łoskotu w bramie zdawały się zapowiadać rozstanie z dotychczasowym światem, a wstęp do nowej, deskami zabitej krainy.

Znałem dawniej cytadelę, kiedyśmy koło niej do Marymontu wracali z nocnych wycieczek do teatru w Warszawie. Była wtedy zaledwie częścią tego, co mi się teraz przed oczyma roztaczało, choć już wtedy widok jej grozą nas i trwogą przejmował. Nie przypuszczałem wtedy, niestety, abym miał być kiedy jej gościem.

Na olbrzymim placu, otoczonym dokoła ciemnymi, trawą porośniętymi wałami, i fosami w niższych miejscach, przeświecającymi wodą, w której się srebrny księżyc pławił, rozsiadły się ciężkie, poważne, przysadziste budowle, przezierając na zewnątrz czarnymi, niewielkimi otworami, którymi odrobina światła do wnętrza wpływała.

Przed wałami zólcify się lufy armatnie, spoczywające na długich zielonych lawetach, gotowe z otwartych paszcz swoich zionąć ogniem na całe miasto i okolice.

Między niemi, niby gniazda jaj, z których się wyłęgaly, stały piramidy kul, w formę trapezów ułożonych. W głębi błyszczała cerkiewka i parę domków, może dla popa i służby cerkiewnej służących, ot i wszystko.

A jednak groźny ten forteczny wygląd mniej budził grozy i wstrętu, niż podłużne, na czerwono umalowane kilkopiętrowe budowle Pawiaka, których cele sklepione niby groby dla żywych, ale umarłych cywilnie podsądnych, przyjmowały niezszczęsnych skazańców.

W porównaniu z niemi 10-ty pawilon Cytadeli był jeszcze salonem.

Ceremonia, poprzedzająca zamknięcie celi, była mniej więcej podobna do tej, jaką już na Pawiaku opisywałem. Różnica na tem się zasadzała, że sale były większe, ozdobniejsze, podłogi były lakierowane, obojęcie grzeczniejsze. Tak samo dokonano rewizji garderoby, tak samo zatrzymano mi krawat, pasek, zegarek, pieniądze, cygarnicę i kluczyki, na co wszystko kwit otrzymałem, poczem odprowadzony zostałem do celi, ale już o wiele większej, wyższej, dobrze przewentylowanej, z daleko większym oknem u góry pod sufitem, okratowanym wprawdzie silnie i bardzo gęsto, ale przepuszczającym obficie blade, srebrzyste światło księżycy.

Umieblowanie było też porządniejsze: tapczan był nie o wiele lepszy, ale pościel delikatniejsza, sienik i poduszka nie słomą, ale sianem wysłane, stolik, krzesło z poręczą, a drugie bez oparcia, służące za umywalkę, i sprzęty konieczne.

We drzwiach żelaznych tak samo umieszczona była szybka okrągła, przez którą od czasu do czasu głowa sztyldwacha zaglądała.

Dozorca, wprowadziwszy mnie do tej celi, ukłonił mi się grzeczniej, słowem, ogólne wrażenie było po Pawiaku bardziej, że się tak wyrażę, kulturalne.

Tej nocy naturalnie nie spałem, jest to bowiem zwykłe wrażenie, jakie się po zamknięciu odnosi. Miałem już ciągle przed oczyma zachmurzoną twarz generała Tuchołki, który już z pułkownika awansował, w uszach mi brzęczał głos jego basowy, wyrzucający mi zatajenie organizacji, do której się



nie przyznałem. Czekałem z wielką niecierpliwością wezwania mnie do Komisji, nawał bowiem prac, rozpoczętych w Komorowie, i interesów pieniężnych, w które przy tylu koniecznych nakładach powłaziłem, ciążyły mi ołowiem na głowie.

Rozmyślałem nad tem, co tam w domu u mnie się dzieje, jak tam iść może gospodarka bez rządy i bez mojej obecności. Nie miałem czasu dać komukolwiek znać o nowem mojem aresztowaniu i gryzłem się tem wszystkim tak straszliwie, że obawiałem się wprost o moje władze umysłowe, bo myśli logicznie zebrać nie mogłem.

O 8-ej rano dozorca przyniósł mi herbatę znów z takim samym kawałkiem dobrego chleba. Przypomniawszy sobie dopiero, że od wczorajszego obiadu w Kutnie nic nie miał w ustach, posiłem się tym jedynie dobrym w więzieniach rosyjskich nektarem.

O godzinie 10-tej klucz zaskrzypiał w zamku i do celi mej wszedł z żandarmem wysoki, tęgi, o przyjemnym wyrazie twarzy oficer żandarmów. Spojrzeliśmy sobie w oczy. On się namarszczył, ja o mało nie krzyknąłem z podziwienia.

Był to nasz poczciwy Jagmin, naczelnik żandarmów w powiecie konińskim, a dawny nasz wszystkich przyjaciel. Z namarszczonych brwi jego domyśliłem się snadnie, że nie wolno mu być poznanym, i wstrzymałem zaraz w sobie pierwszy wybuch radości. Jagmin obszedł celę dokoła, zapytał mnie po rosyjsku swoim barytonowym głosem, czy czego nie potrzebuję. Gdy mu odrzekł, że prze-

dewszystkiem radbym być do Komisji wezwanym jak najprędzej, bom dom i gospodarstwo na opiece Boskiej zostawił, odparł mi, że to nie jego rzecz, i że przyjdzie i na mnie kolej, poczem, skinąwszy głową, odszedł.

Niktby nie uwierzył, jak uspakajająco oddziaływa na więźnia, kiedy znajomą a życzliwą twarz między władzami spostrzeże; zdaje mu się wtedy, że nie jest tak odosobniony i że dola jego lżejszą mu będzie. Tak i mnie widok poczciwego Jagmina uspokoił, a choć wiedziałem, że się znajomości ze mną wyprzećby musiał, rańniejszą jednak mi była chwila wizyty żandarmów.

Na obiad przyniesiono mi barszczyk, a choć po rosyjsku brzmi on dla nas nieładnie (szczy) to jednak był o wiele lepszy od krupniku na Pawiaku; kawałek żyłastego mięsa, wpuszczonego do barszczu, dawał się jeszcze przełknąć, a dodany kawałek chleba dopełniał uczy. Nie upadałem na duchu. W celi mojej, dość wygodnej, było jasno i nie tak strasznie, jak tam; miałem gdzie chodzić po pokoiku, schludnie wybielonym, i nasłuchiwałem pukań do dwóch moich ścian, nie rozumiejąc naturalnie ich znaczenia, czułem tylko, że z obydwóch stron mam współtowarzyszów mojej doli.

Po południu wyprowadzono mnie pod zwykłą eskortą na spacer, w takim samym, dokoła ogrodzonym, ale o wiele większym okólniku. Słychać tu było zdala zlewające się odgłosy instrumentów dętych, tworzących jakąś piekielną kakofonię; prawdopodobnie były to ćwiczenia trębaczy pułkowych,

uczających się danych sygnałów; była to jednak pewnego rodzaju rozrywka, przerywająca monotonna ciszę więzienną.

Tak zeszło mi w zwykłym apatycznym usposobieniu kilka dni, bez żadnej zmiany. Jagmin zwiędział cele codziennie, i codzien udawać musiałem, że się z sobą nie znamy.

Nareszcie piątego dnia Jagmin polecił mi iść za nim do Komisji.

Wszedłem do dużej, pięknej sali, wyfroterowanej i ochędożnie wymalowanej. Na ścianie wisiał portret cesarza Aleksandra II, przez środek sali biegł duży stół, zielonem suknem okryty, a na nim zwykle *prisułstwiennych konnat* przybory.

Za stołem, jak zwykle, w pośrodku siedział naczelnik jenerał Tuchołko, przy nim trzech oficerów. W sali tej było dwoje drzwi do dwóch ościennych widać pokojów.

Jagmin, wprowadziwszy mnie, wyszedł zaraz, a ja przy drzwiach wchodowych zostałem.

— Proszę się zbliżyć—rzekł po rosyjsku do mnie jenerał Tuchołko.—Nu, i nowa sprawa—dodał, rozkładając przed sobą papiery, pomiędzy którymi poznałem podpisany przeze mnie protokół.—Ostrzegalem was, żeby nic nie tać, nie kłamać, wszystko, jak było, wypowiedzieć... a tymczasem w protokóle są kłamstwa, niezgodne z prawdą.

— Jakie, jeżeli mi wolno spytać? — odrzekłem.

— Jakie! — ciągnął dalej jenerał, patrząc w protokół.—Podsądny wyraźnie zeznawał przy pierw-

szem aresztowaniu, że żadnej organizacyi rewolucyjnej w powiecie konińskim nie zaprowadzał, pomocników żadnych nie miał i wszystkie czynności, związane z obowiązkami rewolucyjnego naczelnika powiatu, sam wyłącznie spełniał. Czy tak?

W milczeniu spuściłem wzrok na ziemię.

— Pytam, czy takie było zeznanie?—mówił głośniej.

— Tak jest—szepnąłem, nie podnosząc wzroku.

— I czy podsądny nadal twierdzi, że żadnych pomocników nie miał? — spytał groźnie jenerał.

— Panie jenerale — odrzekłem trochę śmieiej, byłem już bowiem na tę interpelacyę przygotowany — jeżeli pan jenerał raczy sobie przypomnieć, powiedziałem na wstępie, że wszystko, czego się sam dopuściłem, wyznam, jak na świętej spowiedzi, ale tylko to, co mnie dotyczy... poza tem nic.

— Oho! tu nie więźniowie decydują, co mają wyznać, a co zataić... tu wszystko, co i drugich dotyczy, wyznać trzeba, rozumiesz pan? — dodał, uderzając pięścią w stół.

— Panie jenerale, pozwól pan przemówić do siebie, nie jako do władzy, prowadzącej śledztwo, ale jako do człowieka honoru. Wszakże sam dobrowolnie powróciłem do kraju, stęskniony za nim, złamany na duchu, i zdałem się na łaskę i niełaskę władzy z mocnem postanowieniem przyznania się do wszystkiego.

— Do wszystkiego — podchwycił jenerał.

— Tak jest! do wszystkiego, com sam zawinił. A teraz niech mi wolno będzie zapytać pana jene-

rała, coby sam trzymał o takim człowieku, któryby dla odzyskania wolności swojej zdradzał najspokojniejszych dziś obywateli ziemskich i kosztem ich spokoju sobie chciał spokój okupić. Jestem przekonany, że pan generał pierwszy gardziłby takim podłym zdrajcą.

— To romanse... to deklamacye! — wtrącił.

— Jeszcze jedno słówko — ciągnąłem dalej. — Cóżby za los mnie czekał w kraju, gdybym unieszczęśliwiając innych, nie mógł w okolicy mojej nikomu spojrzeć w oczy? Czyż takie usunięcie się ode mnie wszystkich moich dawnych przyjaciół i sąsiadów nie zbrzydziłoby mi życia, zajęcia i kraju? Czy dzieci moje wybaczyłyby mi to kiedyś i czy po zostanie na emigracyi, ale z czystem sumieniem i niezaprószonym okiem nie byłoby stokroć lepszą dolą?

Jenerał bębnił palcami po papierach. Po chwili odrzekł:

— To wszystko, coś pan mówił, może być prawdą, ale Komisya oglądać się na to nie może, bo inaczej nigdybyśmy niczego nie doszli; takie skrupuły dla pojedynczych ludzi mogą mieć znaczenie, dla władzy nie... Pytam więc po raz ostatni — zawołał gromko — miałeś pomocników czy nie?

— Miałem — odrzekłem cicho.

— Ilu?

— Dwóch.

— Kto oni byli?

— Tego nie powiem, bom się do tego nie zobowiązywał.

— *Na miasto jęwo!* — zawołał.

Jeden z obecnych oficerów wstał, z zamiarem zawołania żołnierzy.

— *Podajcie jeszcze* — odezwał się generał — *zadzierzaj jęwo w drugiej komnacie.*

I drzwiami bocznymi wprowadzono mnie do przyległego pokoiku, w którym siedziało dwóch żandarmów.

Usiadłem i ja, bo nogi bolały mnie od chodzenia po celi i stania przed Komisją. W sali, z której wyszedłem, przez chwilę, głuche tylko głosy mnie dolatywały, między którymi od czasu do czasu slychać było głos basowy generała. Siedziałem tak dobre pół godziny, nasłuchując ciągle, ale ani jednego słowa pochwycić nie mogłem.

Nagle usłyszałem głos kobiecy, dobrze mi znany. Żalodne jego brzmienie litość w sercu budziło, ale przerwał to donośny głos generała Tuchołki, tak groźny i podniesiony, że każdy niemal wyraz dochodził do uszu moich.

— ...Podła! nikczemna! to ty myślisz, że generała Tuchołkę można przekupić pieniędzmi? Ja wam pokażę, tobie, twojej córce i mężowi, czem jest generał Tuchołko! ja was tu zgnoję w Cytadeli, nie za te korespondencye z Matuszewiczem, ale za twoją kartkę podła!

I znów slychać było głos nieszczęśliwej kobiety, jej łkania, przesywające do gruntu. Nastuchiwałem uważnie.

Dech mi zamarł w piersiach. Poznałem nareszcie głos znacznej, najszanowniejszej matrony, pani Olimpij Kurnatowskiej, a domysły moje utwierdziło



nazwisko Matuszewicza, dowódcy oddziału kawalerji, któremu widać matka lub może córka na jego żądanie z jakąś pomocą przyjść musiały. I tej to damie z aczej rodziny, wielkiego świata, najwykwintniejszego wychowania, takie się epitety dostawały.

W głowę zachodziłem, co mogło być przyczyną takiego rozwścieczenia się generała Tuchołki. Później dopiero, w parę miesięcy po uwolnieniu pp. Kurnatowskich dowiedziałem się, co następuje.

Gdy siedzieli w Cytadeli, każde osobno, mąż, żona i córka, panna Halina, biedna, zrozpaczona matka na świstku papieru napisała ołówkiem, stanowiącym brelok u zegarka, kilka słów do prezesa trybunału, Głosa: „Sypcie pieniędzmi, byle nas stąd wydostać“. Ponieważ kapitan Jagmin, za czasów bytności swojej w Koninie, bywając wszędzie u miejscowych obywateli, bywał i w Brudzewie, biedna pani Kurnatowska, przy jednej z jego wizyt w celi, wsunęła mu tę nieszczęsną karteczkę tak niezręcznie, że spadła na ziemię.

Asystujący Jagminowi żandarm podniósł ją i przeczytał, poczem wręczył ją swemu przełożonemu, Jagminowi. Nie było rady, ani sposobu ukrycia tej kartki, musiał więc Jagmin wręczyć *corpus delicti* generałowi Tuchołce, który urażony przypuszczeniem sprzedajności, takim gradem obelg obrzucił nieszczęśliwą kobietę. W istocie wszystko można było zarzucić Tuchołce, ale sprzedajności nigdy.

Po tej scenie nastąpiła cisza. Była już godzina obiadowa, około 2-giej, gdy Tuchołko, wraz z asystentami wyszedł z sali, pozostawiwszy jednego

tylko oficera dyżurnego; ja między żandarmami zostałem. Zapomniano widać o mnie, bo żandarmom przyniesiono obiad, a ja, znikany usłyszaną sceną, upadłem w mocno ogrzanym pokoiku, bezsennością, a po części głodem, czekałem.

Po dwu godzinach zmieniono żandarmów i kiedy się drzwi sali otworzyły, oficer, tam pozostały, spostrzegł mnie.

„A co pan tu robi?“—zapytał dość uprzejmie po rosyjsku.

„Ja nie wiem“—odrzekłem—„siedzę tu już kilka godzin, bo byłem przesłuchiwany, i tu mi siedzieć kazano.“

„No, to jest pokój soidacki. Chodź pan na salę, tu więcej powietrza. Musimy czekać na generała.“

„Długo jeszcze?“—spytałem cichym głosem, język bowiem z pragnienia mi przysychał do podniebienia, a głos cichnął.

„Do szóstej“—odrzekł.

Był to jeden z tych oficerów, którzy asystowali przy badaniu. Na twarzy jego widać było współczucie; piękne jego oczy biegly w stronę drzwi, wiodących do żandarmów. We drzwiach tych tak, jak w celach, była okrągła szybka.

„Pańska sprawa niedobra—zaczął mówić—pan nie chcesz wyjawić pomocników, bo pan się wstydzisz tego i boisz się, że od ciebie się sąsiedzi odsuną. Ja to rozumiem... ale cóż robić?... Komisya co innego... to nie człowiek pojedynczy, ale władza śledcza... ona musi dojść wszystkiego.

„Byłbym nigdy z zagranicy nie wracał — odparłem — wolałbym tam być umrzeć z tęsknoty za krajem, niż żyć tu i być potem okrytym pogardą. Odwołuje się do pańskiego honoru wojskowego, czy pan byś postąpił inaczej?”

„To nie moja rzecz roztrząsać. Nam, podwładnym, jedno wolno: słuszać i nie rozsądzać!”

Podał mi papierosa. Chwyciłem go namiętnie w nadziei, że mi głód i pragnienie ugasi.

„Pan dziś obiadu nie dostał?” — rzekł po chwili.

„Nie, ale nie dbam o to, bo apetyt człowieka odchodzi. Gorzej jest, że mi się straszliwie pić chce.”

„Musisz pan z tem czekać, aż się badanie skończy.”

Tymczasem wniesiono obiad dla oficera i szklankę wina. Na widok płynu oczy mi się zaiskrzyły. Trudno wyobrazić sobie w takich razach męki nieugaszonego pragnienia.

Odwróciłem głowę i patrzyłem przez okno sali. Widać z niej było dalekie lasy, piachy i zarośla, zwane piekiełkiem, do któregośmy nieraz z Marymontu chodzili. Stały mi przed oczyma owe błogie chwile, w których żyliśmy w koleżeństwie, jak bracia, w zgodzie, w miłości, pełni życia, otuchy, wiary w przyszłość, jaka nam się uśmiechać zdawała. Co mi z tego dziś zostało? — pytałem się sam siebie — kłopoty, troski domowe i... więzienie, a ciężar przyniósł mi piersi.

W ciszy słychać tylko było szcęk widelca i noża, którym oficer krajał sobie przyniesiony mu obiad.

Skończywszy go i wypiwszy połowę szklanki wina czerwonego, oficer skinął na mnie, wziął szklankę w rękę, a trzymając ją z tyłu, sam patrzył przez szybkę do pokoju żandarmów, zasłaniając ją twarzą.

„No, pij pan” — szepnął pocichu.

Przykucnąłem do ziemi, ująłem trzymaną z tyłu szklankę i jednym prawie haustem wypróżniłem ją.

„A co? smakowała?” — zapytał z poczciwym uśmiechem.

„Nektar” — odrzekłem — „niech Pan Bóg to nagrodzi.”

„Tylko się pan z tem nie chwał” — odparł szybko, — bo ja popelniłem nadużycie.” — Poczem podał mi drugiego papierosa i otworzył okno, żeby dym, przez nas puszczały, wyszedł.

W godzinę zaturkotał powóz.

„Jenerał przyjechał,” — rzekł, siadając koło stołu, a mnie wskazując miejsce pod piecem. Tacę z talerzami uprzągnięto i byliśmy zdala od siebie, jak-gdyby nigdy nic.

Po chwili wszedł Tuchołko ze swymi dwoma towarzyszami, a spostrzegłszy mnie, zapytał, co tu robię.

„Czekam od rannego śledztwa.”

„Gdzie on był?” — zapytał oficera.

„Obok w soldackim pokoju... tak ja mu tu czekać kazałem.”

„No... gadasz pan czy nie? kto byli twoi pomocnicy?”

W milczeniu skłoniłem głowę i rozkrzyżowałem ręce.

„No, to ja ci pokażę?—zawołał generał,—że się bez twoich głupich zeznań obejść. — P o z w a t' ich — dodał do oficera, wskazując na dwa leżące przed nim arkusze.

W pięć minut przyprowadzono Kozuchowskiego i Przechadzkiego.

„A co? — zawołał do mnie — wiemy czy nie wiemy.“

„Ale nie ode mnie.“

„Za to dobrze zapłacisz pan!“—zakonkludował.—

„Na m i e s t o“ — dodał, wskazując na mnie, i wprowadzono mnie napowrót do celi. Kozuchowski i Przechadzki zostali.

Po tygodniu oczekiwania na wyrok wezwano mnie do komisji, w innym już składzie, tylko z poprzedniej pozostał generał Tuchołko i ów pocziwy oficer.

Jenerał zakomunikował mi, że za zatajenie prawdy skazany zostałem na drugą kontrybucję przeszło dwakroć większą, niż Kozuchowski i Przechadzki, którzy tylko po 750 rb. kontrybucji zapłacili za to, że się przyznali.

„Toć i ja się do moich win przyznałem — wtrąciłem nieśmiało.

„Pan tu piecem wróciłeś do kraju... protekcy... już ja wiem... wyrok pierwszy był za łagodny... A teraz koniec! Masz pan z sobą 2,000 rubli?“

„Ani z sobą nie mam, ani w domu. Kupiłem tymczasem opuszczoną wieś i, co miałem, w nią włożyłem.“

„No to będziesz póty siedział, póki się pieniądze nie znajdą.“

„Muszę zatelegrafować do rodziców. Może mi oni będą mogli przyjść z pomocą.“

„Ha... możesz pan telegrafować. Tu jest papier i pióro.“

Napisałem depeszę do matki do Lublina, prosząc ją o przybycie i wystaranie się w Warszawie pieniędzy na ponowną kontrybucję, bo jestem w cytadeli.

W trzy dni potem wezwany zostałem do komisji. Na stole leżał kwit ładu i kartka, uwalniająca mnie z cytadeli, dla wypuszczenia z fortecy.

Skłoniłem się uprzejmie, choć smutno: ta kwota wprawiała mnie w prawdziwe trudności pieniężne. Za chwilę potem wyszedłem przed 10-ty pawilon.

Na dole czekała dorożka, a w niej droga moja, nieoceniona matka.

*(„Kartki z mego pamiętnika“ — Jordan  
(Juljan Wieniawski)—Warszawa, 1911.)*



---

## JAK SIĘ ŻYŁO W CYTADELI.

Przy rogatek czekał już na nas inny oddział, wysłany z cytadeli, pułkownik oddał nas — po skrupulatnem przeliczeniu — a sam z wojskiem, które nas przyprowadziło, odszedł do obozu pod miastem. Przy rogatek trzymano nas parę godzin. Znowu oficer ustawił nas w szeregu, znowu przeliczył, i tak staliśmy głodni, zmęczeni, niewyspani, a tak wyczerpani, że wielu upadało ze znużenia. Byliśmy zakurzeni tak, że pył formalnie dusił — mieliśmy pełno go w gardle, w oczach, w uszach, w nosie. Łaknęliśmy choć kropli wody, aby suchy i zesztyniały język odrobinę zwilżyć. Nie dozwolono jednak jednego nawet kroku ruszyć z szeregu.

Po długiem wyczekiwaniu kozak na spienionym koniu przywiózł widocznie rozkaz z cytadeli, bo ruszyliśmy zaraz. Prowadzono nas nie przez miasto, ale od rogatki Jerozolimskich, koło st. W.

Wied. towarowej, po walach, przez Wolę i Powązki do cytadeli.

Wprowadzono nas nakoniec na plac fortecy, zatrzymano, ustawiono w dwa długie szeregi, a każdy u nóg złożył swój tornister — całe bogactwo, które dozwolono z sobą zabrać. Zmęczeni i strudzeni kilkodniową niewygodną podróżą, staliśmy znowu kika godzin w szeregach. Sen kleił nam powieki, a wielu, stojąc i opierając się jeden o drugiego, drzemało.

Zjawił się w końcu komendant fortecy, kilku żandarmskich oficerów, „karaulny“ oficer i znowu rozpoczęła się długa, uciążliwa „powierka“. Z listy czytano po kolei każdego z nazwiska, dalej liczono raz i drugi stojących w szeregach. Po ukończeniu tej czynności, która przeszło godzinę trwała, komendant zakomenderował „marsz“. Zarzuciwszy swe tłumoczeki na plecy, powlekliśmy się, nie wiedząc gdzie.

Przeprowadzono nas przed ogromny długi gmach, a miał specjalną nazwę „Głaznoje otdielenie“. Przy drzwiach po jednemu puszczono i znowu rachowano. Weszliśmy po schodach na górę, przeszliśmy długi korytarz, po którym przechadzali się żandarmi, żołnierze z karabinami stali po dwóch przy każdych drzwiach. Tu oczekiwał inny oficer przy drzwiach, które prowadziły do sali, dla nas przeznaczonej, także po jednemu rachując, wpuszczano wewnątrz.

Znaleźliśmy się nareszcie w ogromnej izbie, przedzielonej na dwie równe części, po jednej i drugiej stronie ścian rozstawione były prycze, tak, że

mało pozostawało miejsca na przejście. Prycze, jak zwykle, zbite były z desek, bez śladu jakiegokolwiek posłania. Każdy z nas obierał tymczasową kwaterę, a dla oznaczenia, że to jego własność, kładł swój małeńki tłumoczek.

W izbie tej pomieszczono kilkuset więźniów — można zatem sobie wyobrazić, jaki był hałas, zamieszanie i ścisk. Przez cały dzień i noc nikomu niewolno było wyjść z więzienia, a obiad, śniadanie i wszystkie funkcje spełniały się na miejscu. Rozstawione „paraszki“, które już opisywałem miłą woń roznosiły po izbie...

W sali wkrótce nastał mrok, noc się zbliżała, zapalono kilka łożowych kaganków, które nietylko że mało dawały światła, ale zarażały strasznym śwędem i tak cuchnące powietrze.

Ksiądz kanonik Dąbrowski i inni księża ukłękli i głośno rozpoczęli odmawiać wieczorne modlitwy. Chwila ta była tak uroczystą i porywającą, że kolana mimowoli się ugięły — nietylko tym, co w głębi serca przechowali silną wiarę, ale i tym, co może zapomnieli się modlić — a nawet wielu inowierców stawało, a przejęci tym uroczystym nastrojem, niesli po swojemu korne prośby przed tron Najwyższego...

Niech, jak chcą twierdzą, filozofowie, niech wśmiewają się wszyscy razem wzięci postępowcy i pesymiści, którzy każą młodemu pokoleniu deptać tradycje i świętą naszą Wiarę. Są jednak mimo tego wszystkiego, w życiu każdego niemal człowieka, chwile, że jedyną deską ratunku i na-

dziei jest Bóg... Spotykałem zatwardziałych niedowiarków, którzy jednak w chwili trwogi i niebezpieczeństwie żegnali się krzyżem świętym—a może odpowiedzą mi postępowcy, że to przez zapomnienie czynili...

Po modlitwie, każdy, jak mógł, przygotowywał sobie posłanie, a byliśmy tak zmęczeni, nieprzyzwyczajeni jeszcze do tak ciężkich niewygód, że każdy pragnął jaknajprędzej położyć się, choć na gołych deskach.

Na drugi dzień rano zaczęliśmy rozglądać się po naszej sali, pragnąc poznać ją dokładnie. Okna małe, zakratowane, jak we wszystkich więzieniach, u góry przy samym suficie, nie nazewnątrz urzędnie dozwalały. W parę godzin po śniadaniu, z mleka i bułek, które żandarmi przynosili—a brali poczwórną cenę—usłyszeliśmy głucho pukanie w ścianie. Pukano bez ustanku. Myśmy jednak nic zrozumieć nie mogli. Wprawdzie wiedzieliśmy, że więźniowie w podobny sposób się porozumiewają, potrzeba jednak mieć klucz do podobnej rozmowy. Odpowiadaliśmy pukaniem, lecz bez skutku. Wiedzieliśmy także, że trzeba być bardzo ostrożnym.

W izbie naszej stały dwa piece. Pewnego razu, usłyszeliśmy w jednym szmer, tak, jakby coś spadło. Otworzyliśmy drzwiczki i znaleźliśmy brykę, ulepioną z chleba, w środku której była umieszczona mała karteczka, a na niej napisane zapytanie: „Kto jest sąsiadem, z kąd i za co?” Bryka chleba umocowana była na sznurku. Od tej chwili w więzieniu naszym zaszła pewna rozmaitość i rozrywka.

Z celą, umieszczoną nad nami, zawiązała się bezustanna korespondencya—w celi było trzech skazanych do ciężkich robót, a siedzieli już drugi rok—byli zatem starymi lokatorami cytadeli i z miejscowymi zwyczajami obeznani. Dali nam różne objaśnienia i wskazówki i oni nauczyli nas sposobu rozmowy, za pomocą pukania.

Wszystkie położone za naszą salą celki były małe i w nich mieściło się po dwóch i trzech więźniów, skazanych już do ciężkich robót. Od nich dowiedzieliśmy się, że prezesem Komisji śledczej był generał Zdanowicz.

Dnie wlokły się ciężkie, bezbarwne, a tak byliśmy zmęczeni, że wyczekiwaliśmy z upragnieniem chwili, która by nam otworzyła bramy cytadeli—i, choć nieoczekiwaliśmy nic dobrego, pragnęliśmy jednak jakiej zmiany, choćby nawet była gorzszą.

W czasie mego pobytu w cytadeli, raz jeden udało się mojej siostrze K. B., że przez różne protekcyje uzyskała pozwolenie widzieć się z mną.

Po kilku tygodniach więzienia w cytadeli, jednego dnia wieczorem dyżurny oficer kończył „powierkę“, gdy wszedł do izby smótritiel z teką, wyjął z niej papier i zaczął czytać głośno listę. Czytanie to trwało przeszło godzinę, bo trzeba przypomnieć, że w izbie było nas przeszło dwustu aresztantów. Po przeczytaniu oświadczył, że Komisja wojenna, mocą wydanego wyroku skazuje na wywiezienie do Rosji sposobem administracyjnym. Kazał się nam przygotować do drogi, gdyż



jutro rano o 4-ej wysłani zostaniemy specjalnym pociągiem.

Noc już całą nie kładliśmy się spać, a nawet byłoby to niepodobieństwem, bo w nocy o 12-ej przyszedł patrol i kazał wychodzić z izby. Zarzucałszy, jak zwykle, tłumoczek na plecy, jak nocne widma, zaczęli po jednym wypuszczać—licząc nas znowu—na rodzaj podwórka. Tu już otoczył silny oddział piechoty i, kiedy wszyscy wyszliśmy, połączono na ten sam plac, na którym tak długo trzymano nas po pierwszym przybyciu do cytadeli. Zaczęły teraz ściągać ze wszystkich stron większe i mniejsze gromadki.

Ustawiono w szeregi i znowu liczyć poczęto. Komendant cytadeli i oficer dyżurny oddawali nas pieczy oficerowi, który miał nam asystować na kolei. Gdzie jednak i na którą? nie mieliśmy pojęcia, wiedzieliśmy tylko w sekrecie od żandarmów, że zaprowadzić nas mają na dworzec Petersburski.

Zebrała się nas spora gromada, pewno było około sześciuset więźniów, a otaczało nas kilka rot piechoty, sotnia kozaków, szwadron dragonów i cztery armaty.

Było to w drugiej połowie maja—to też nim nas zebrano, uszykowano, porachowano i ruszono z miejsca, promienie wschodzącego słońca przedziarć zaczęły oponę nocy i budzić ziemię ze snu i martwoty.

Przeszliśmy przez całą długość cytadeli, wyszliśmy za bramę i już przez jej stoki posuwaliśmy się wolno do miasta. W tej właśnie chwili świe-

tlana tarcza słoneczna w całym majestacie i blasku wytaczać się zaczęła na niebo.

Cudny był ranek majowy.

Cały ten długi oddział wchodzić zaczął do Warszawy—mieszkańcy jeszcze byli we śnie pogrążeni, ale szcęk broni, ciężki turkot kół armatnich po bruku, zresztą odgłos równych, miarowych kroków parutysięcznego oddziału—nie śpiących, ale nawet umarłych mógłby poruszyć. To też gdy wchodziliśmy na Stare Miasto, szybko, błyskawicznie niemal otwierały się okna i wybiegało na balkony w nocnych negliżach wiele kobiet, które ślały nam słowa pożegnania.

Na Starym Rynku pełno było już przekupek, rozstawiały stragany, wszystkie porzuciły zajęcie i biegly na spotkanie nasze. Całe wypróżniały kosze, a bułki, chleb, całe wianki serdelków i powrozy kielbas przelatywały w powietrzu ponad głowami otaczających nas żołnierzy i wszystko to dostawało się do rąk naszych.

Gdy wchodziliśmy na plac Zamkowy, niewiedomo jakim instyktem wiedziony, lud ze wszystkich ulic biegł, zwiększając się co chwila. Przeciągnęliśmy przez Zjazd i most żelazny, rzucony na Wiśle, i stanęliśmy na placu przed stacją Petersburską. Widocznie Warszawianie byli przez kogoś powiadomieni o wysyłce, bo na placu przed foksalem stało tysiące ludu—urzałem wśród niego i swą siostrę, K. B., krewnych i wielu znajomych.

Niedozwolono jednak było nikomu zbliżyć się do oddziału i gmachu kolejowego. Wprowadzono

nas na peron, gdzie już oczekiwał na nasze przyjęcie długi szereg wagonów trzeciej klasy. Zaczęto teraz segregować i pakować nas do wagonów. Przy każdym oknie stało dwóch żołnierzy z karabinami, po dwóch przy drzwiach wewnątrz, a i na zewnątrz po czterech. W wagonach było tak ciasno, że literalnie nie jeden obok drugiego, ale jeden na drugim siedział.

Gdy już wszyscy byliśmy wtłoczeni, a wagony zamknięto, gdy część oddziału wojska, która miała nas prowadzić zajęła dwa pierwsze i dwa ostatnie wagony, i gdy reszta wojska sformowała łańcuch przez całą długość stojącego pociągu, wtedy otworzono drzwi gmachu kolejowego i oczekujących z niecierpliwością tych, którzy przyszli nas żegnać, wpuszczono na peron. Powstał niesłychany tumult, zamieszanie, bieganina, każdy spieszył, bo pragnął jaknajprędzej dostać się na peron, a dostawszy szukał oczami wagonu, gdzie pomieszczony jest jego ukochany.

Teraz nastąpiła głośna rozmowa — słowa szybko się krzyżowały, nie było czasu na długą, systematyczną gawędkę, spodziewano się bowiem, że pociąg łada chwila ruszy. Naznoszono różnych przedmiotów i prowiantów.

Nareszcie oficer zakomenderował — konduktor dał sygnał, maszynista puścił parę, rozległ się świst przeciągły, a świdrujący na wskroś serca tak zgnębiących, jak żegnanych...

(„Pamiętniki Władysława Zapółowskiego  
(Płomienia) z r. 1863—70” — Wilno, 1913.)

Cytl. Neukawa

Nr

111

Nr inw. C. N. 46171

## Spis rzeczy.

	str.
<i>Przedmowa</i> . . . . .	5
Konstanty Wolicki.	
<i>W Ludwisarni</i> . . . . .	7
J. Gordon.	
1. <i>Aresztowanie</i> . . . . .	23
2. <i>Potęga wyobraźni w więzieniu. Rozmowa przez dziurę w ścianie</i> . . . . .	32
3. <i>Poglądy z okna. Więźniowie pomieszanych zmysłów. Podejście komisji śledczej</i> . . . . .	37
4. <i>Komisya bierze mnie w obroty</i> . . . . .	43
5. <i>Jak leczą w cytadeli choroby moralne?</i> . . . . .	50
6. <i>Pożegnanie i kazanie.</i> . . . . .	55
Jasieńczyk.	
1. <i>Wizyta</i> . . . . .	61
2. <i>Stół, stancja i wszystko bezpłatnie</i> . . . . .	68
3. <i>Posłuchanie w komisji</i> . . . . .	79
4. <i>Znajomości z sąsiadami</i> . . . . .	89
Wład. Daniłowski.	
<i>Pobyt w więzieniu</i> . . . . .	103



25  
4786/29216

Jordan (J. Wieniawski).	
<i>W cytadeli warszawskiej</i> . . . . .	131
Władysław Zapalowski.	
<i>Jak się żyło w cytadeli</i> . . . . .	147



~~INT. 5510  
CZYTELNA KOMANDNA~~

F.

15

